BÓG NIE OPUŚCI,

KTO SIĘ NAŃ SPUŚCI.

Opowiadanie

przez **Wł. L. Anczyca.**

CHICAGO, ILL.
Drukiem Spółki Nakładowej Wydawnictwa Polskiego,
141—143 W. Division ulica.
1893.

I.
Rodzina kupiecka.

O kilka mil od starożytnego Krakowa, u stóp podnóża Karpat, które aż tutaj wyniosłemi wzgórzami wybiegło — leży małe miasteczko, liczące około trzech tysięcy ludności. Nazwy jego wam nie powiem; szukajcie go na mapie Galicyi zachodniej, a może znajdziecie.

Na niezbyt wysokiem wzgórzu, u stóp którego spora górska rzeczka bystrym prądem po nastroszonych głazach wesoło pląsa, rozbiegły się kilkoma ulicami czyste i schludne domki miasteczka. Dokoła niego piętrzą się wysokie góry. Ciemna zieleń jodłowych i świerkowych lasów pokrywa je: na wyrębach, niestety coraz większych, takie mnóstwo rodzi się poziomek, że ubożsi mieszczanie, dostarczając je do Krakowa, sporo zbierają grosza.

Napróżno szukałbyś w miasteczku naszem trzech, a choćby dwupiętrowych domów; takich wymysłów tu nie znają — ale znowu do-

mów parterowych murowanych nie zbraknie a i o jednopiętrową kamieniczkę nie trudno. Obszerny rynek, w koło zaopatrzony chodnikami z płaskich ciosowych kamieni, pysznił się niegdyś kilkunastu wspaniałemi kasztanami; zauważono atoli, że nie przystoi, ażeby w rynku jak w lesie drzewa rosły, kazano je wykopać i posadzić za miastem.

W ulicy — po prawej stronie, a więc ku zachodowi wznosi się obszerny kościół murowany, którym mieszkańcy tutejsi pysznią się, jak Krakowianie maryackim; ku południowi biegnie ulica, wiodąca ku Tatrom, która po przebyciu bardzo długiego mostu zamienia się w bity gościniec.

Pomiędzy mieszkańcami grodu, który tutaj opisujemy, jak odznaczał się największą uczonością aptekarz, tak znowu na polu handlowem najpierwszym był jedyny w całem miasteczku kupiec. Dom jego odwieczny murowany, przy zbiegu ulicy Krakowskiej z rynkiem, był wprawdzie bez piętra, ale za to wysokim dachem i wspaniałemi kominami ozdobny.

W domu tym blizko od stu lat na samym rogu znajduje się sklep, a nad jego drzwiami

od strony rynku wisi zawsze jeden i ten sam szyld z napisem:

HANDEL KORZENNY I WINNY
Gabryela Kawińskiego.

Po obu stronach drzwi wiszą dwa szyldy blaszane, na jednym miejscowy artysta wymalował tonący okręt naładowany kawą, cukrem, figami i innemi zamorskiemi towarami — morze rozhukane i kilkanaście piorunowych gzygzaków na niebie czarnemi chmurami okrytem, okazują mieszkańcom, z jakiemi to niebezpieczeństwy łączy się zawód kupiecki. Na drugim szyldzie, na czarnem tle żółtemi literami ubarwionem, wyliczono nazwy towarów, w jakie ów handel obfituje.

Wnętrze sklepu od wielu lat dla większej powagi nie bielone, zajmuje po lewej stronie od wnijścia w całej długości kupiecka szafa; na szufladach obyczajem galicyjskim znajdują się napisy niemieckie. Na wierzchu szafy stoją szeregi flaszek z przeróżnemi napojami, pomiędzy niemi w środku jest ustęp, w którym pomieszczono tablicę z napisem:

„*Dziś za pieniądze — jutro na kredyt*"

Na tylnej ścianie wisi bardzo stary zczerniały obraz Matki Boskiej Częstochowskiej,

przed którym wiecznie goreje lampka w czerwonem szkle; pod obrazem znowu tablica, tym razem niebieska z napisem złotemi literami wyrytym:

„Dałeś mi Boże z Twej Opatrzności —
Dajże i temu, co mi zazdrości.”

Środkiem sklepu wzdłuż biegnie kasa — na przednim jej końcu pult, obficie skropiony atramentem, a na pulcie leżą księgi kupieckie, w środku okrągły, lakierowany słup drewniany, dźwigający poprzecznego żelaznego węża, na którym wisi kilka par ważek mosiężnych rozmaitej wielkości; wielkie wagi miedziane, opuszczone aż na kasę, służą do ważenia całych głów cukru. Na drugim końcu kasy rodzaj tacy z białej pordzewiałej blachy; na niej kilkanaście kieliszków rozmaitego wzrostu i tuszy. zastosowanych do wymagania amatorów wódeczki.

Dom kupiecki Kawińskich, jak już wspominaliśmy wyżej, prawie od stu lat istnieje w miasteczku, a ponieważ dawne przywileje jeszcze od królów otrzymane, zabraniały osiadać tu starozakonnym, więc Kawińscy nie lękali się, ażeby im kto w handlu przeszkadzał. Każdy naczelnik tej rodziny nosił imię Gabry-

ela — raz że to jest imię archanielskie, więc bardzo piękne; powtóre że zmiana jego pociągnęłaby za sobą niepotrzebny wydatek na przemalowanie szyldu. Najstarszego więc syna chrzczono Gabryelem, a i dzisiejszy właściciel także je nosi, choć go właściwie ochrzczono Floryanem. Zkąd zaś poszła ta zmiana, opowiemy pokrótce.

Ojciec dzisiejszego kupca był człowiekiem niezmiernie upartym: kiedy sobie coś postanowił, co mu się dobrem i słusznem wydawało, to już mu tego z głowy nikt wybić nie potrafił. Najstarszy syn jego, ma się rozumieć także Gabryel, był jeszcze od niego upartszym.

Chłopiec ten na wielkie zmartwienie ojca, poznajomił się z profesorem miejscowej szkoły, którego za jakieś uchybienie przeniesiono tutaj ze Lwowa. Uczył on we Lwowie zoologii, a tu mu kazano uczyć niemieckiego. Stary Kawiński, chcąc syna wydoskonalić w wyższym stylu niemieckim, ofiarował u siebie profesorowi stołowanie w zamian za uczenie syna. Zrazu szło to dobrze, ale gdy nauczyciel poznał ciekawość ucznia, zaczął go uczyć zoologii, to jest nauki o zwierzętach; rozpowiadał mu przytem o rozmaitych krainach zamorskich, o Indyach, Brazylii, Afryce, gdzie żyją naj-

dziksze zwierzęta; o podróżach żeglarzy, połowach wielorybów, polowaniach na lwy, tygrysy i nosorożce.

Kiedy znów w niedzielę, w którą pan Kawiński jako pobożny katolik tylko do 9 rano, a dopiero po 5 wieczór sklep otwierał; kiedy, mówię, w niedzielę poszli na przechadzkę za miasto, to chwytali motyle, łątki, chrząszcze, a pan Maksymilian każdego nazwać umiał i rozpowiadał chłopcu bardzo ciekawe rzeczy o życiu owadów. Przyszło do tego, że młody Gabryelek zapalił się do nauki, zamiast myśleć, jak sobie życzył ojciec, o kawie i szuwaksie, marzył o lwach, tygrysach, hyenach i szakalach.

Stary Kawiński wzrosły pomiędzy towarami, zamiłowany w handlu, najwyższe szczęście upatrywał w kupieckim stanie, z tego powodu wszystko, co nie miało z nim związku, uważał za godne pogardy. Nauki przyrodnicze wydawały mu się niedorzecznością zajmującą czas, a jeżeli szacował pana Maksymiliana, profesora, to tylko dlatego, że posiadał wybornie język niemiecki, nic więc dziwnego, że surowo przestrzegał, ażeby Gabryelek oprócz handlowych, innych nie czytywał książek.

Niechże Bóg broni, gdyby ujrzał w jego ręku jaką podróż, albo powieść o przygodach wędrowca. Zdarzyło się raz, że chłopak pożyczył od syna sędziego „Przypadki Robinsona Kruzoe" i tak się zaczytał, że nie spostrzegł wchodzącego ojca. Pan Kawiński wyrwawszy mu z rąk książkę, chciał ją wrzucić do pieca; dopiero kiedy się dowiedział, czyją jest własnością, odniósł ją panu sędziemu z gorącą prośbą, aby takich szkodliwych dzieł nie pożyczał jego synowi.

Takie postępowanie ojca, zamiast zachęcić Gabryelka do kupiectwa, obrzydziło mu zupełnie handel; długo milczał, ale gdy raz stary Kawiński wytargał go za czuprynę, za to, że panu adjunktowi podał nieoprawionego śledzia, Gabryelek uciekł do pokoju i oświadczył ojcu, że już więcej jego noga nie postanie w sklepie.

Można sobie wyobrazić, w jak ogromny gniew wpadł nasz kupiec — nie obeszło się bez łajań i szturchańców, a nawet raz pan Kawiński kazał parobkom rozciągnąć syna na ławie i byłby mu wsypał ze dwadzieścia dyscyplin, gdyby matka nie wybłagała syna od kary.

Wprawdzie zastraszony plagami Gabryelek stał za kasą, ale ciągle się mylił, podając kamforę zamiast pieprzu, a senes zamiast bob-

kowych liści. Zmartwiony srodze ojciec żalił się przed żoną, a Gabryelek tymczasem rozchorował się i leżał w łóżku ze zmartwienia, że go chcą przeciw jego woli kupcem zrobić. Teraz znowu przyszła mu w pomoc matka i zaczęła prosić za synem męża.

— Mój Gabrysiu, mówiła, głową muru nie przebije, nie bądźże i ty upartym, widzę ja to dobrze, że chłopiec nie udaje, ale naprawdę nie ma chęci do naszego stanu. Znać mu Pan Bóg co innego przeznaczył, skoro nie ma ochoty do kupiectwa. Rózgą mu jej nie napędzisz — niechże się uczy na profesora i to jest przecież kawałek chleba nie najgorszy.

— A któż będzie handel prowadził? zapytał Kawiński.

— Ja myślę, żeby Florusia obrócić do sklepu.

— Hm, nieźleby to było, rzekł kupiec, ja wolałbym tysiąc razy Florka, bo wciąż on przychodzi do sklepu i ani go napędzić do książki, to już z niego urzędnik nie będzie, ale cóż kiedy mu nie Gabryel na imię.

— Wielka rzecz, zawołała Kawińska, kazać szyld przemalować i basta.

— A niechże mię Pan Bóg broni! krzyknął zaperzony Kawiński, na szyldzie musi być „Gabryel Kawiński”.

— A jakby też uchowaj Boże Gabryelek ze zmartwienia umarł, no to cóżby było? zagadnęła kupcowa.

Poczciwy ojciec zadrżał na tę myśl, bo mu nigdy przez głowę nie przeszło,żeby Gabryelek mógł umrzeć. Nie odpowiedziawszy ani słowa, porwał za klucze i pobiegł do składu dla ukrycia swojego wzruszenia. Kawińska poszła do ogrodu i podlewając kwiaty płakała.

Podczas tej rozmowy, toczyła się insza w sypialnym pokoju:

Floruś, młodszy braciszek Gabryelka, zachęcał go wszelkiemi siłami, ażeby ojcu się nie sprzeciwiał i wrócił do sklepu, zachwalając przytem stan kupiecki.

— Ja nie rozumiem, mówił do brata, zkąd u ciebie wzięła się taka niechęć do handlu. Czyż można być szczęśliwszym od kupca? Ludzie zbiegają się zewsząd po towary, a ty sobie ważysz, mierzysz, nalewasz i zagarniasz do szuflady cwancygiery i szajny.

— Bądźże sobie szpecerajem, krzyknął Gabryelek — ja nie chcę! nie chcę i nie chcę!

— O ba! odpowiedział Floruś, gdybym tylko mógł zostać kupcem, to bym dał niewiedzieć co za takie szczęście. — Ale cóż, dodał po chwili wzdychając — urodziłem się później

od ciebie i mam imię Floryan, a nie tak, jak potrzeba Gabryel.

— Słuchaj no, Floruś, zawołał Gabryelek siadając raptem na łóżku — przychodzi mi przepyszna myśl.

— Jaka?

— A gdybyśmy tak poprzemieniali sobie imiona?

— Imiona? a czy to można? — zagadnął Floruś.

— Czy można, to już ja tego nie wiem, odrzekł Gabryelek, ale to wiem, że gdybyś ty raz został Gabryelem, toby cię ojciec zrobił odrazu kupcem, a ja mógłbym się uczyć na profesora; tak byłby i wilk syty i owca cała.

— Ależ to przewyborny koncept! zawołał Floruś z zaiskrzonemi od radości oczami; idzie tylko o to, ażeby tatko się zgodził, wiesz ty co, powiedz to mamuńci, a ona zrobi z tatkiem wszystko, co zechce.

Jakoż Gabryelek niecierpliwy posłał brata do matki z prośbą, żeby do sypialnego przyszła pokoju, a gdy się to stało, zaczął ją po rękach całować i tak gorąco prosić, że pani Kawińska natychmiast udała się do męża i ten dziwny projekt chłopców opowiedziała, radząc aby się na niego zgodził.

Kawiński zrazu coś mruczał i opierał się, ale w końcu, jak zwykle w każdej sprawie, żona przemogła i stary nie tylko zgodził się, ale nawet potem był bardzo rad temu.

— No, no.... cóż mam z waści robić. Prawdę mówiąc, kontent jestem z tego, bo Floruś ocali honor naszej firmy. Będzie z niego tęgi kupiec! A Gabryelek niech sobie robi, co mu się podoba, jak sobie pościele, tak się wyśpi....

— Mój Gabrysiu, przecież i stan profesorski jest bardzo szanowany, zauważyła pani kupcowa.

— Co bakałarz to bakałarz, a co kupiec to kupiec: nie przynosi to wprawdzie wstydu, ale zawsze bieda i kwita. Zobaczysz, że jeszcze Gabryelek będzie potrzebował łaski Florusia, zapieczętował rozmowę kupiec.

Tego samego jeszcze dnia zajął się Kawiński urzędową przemianą nazwisk, a we dwa miesiące potem Floruś jako Gabryel stał za kasą w sklepie, a Gabryelek wybierał się do szkół krakowskich.

Odjazd syna napełnił smutkiem cały dom Kawińskich, osobliwie też cierpiała na tem rozstaniu matka. Sprawiono mu suknie i trochę bielizny, ojciec napisał list do jednego z kupców krakowskich, prosząc, aby go u siebie

z handlowymi praktykantami umieścił i nad nim czuwał. Matka wsunęła mu w rękę kilkanaście reńskich, wszyscy odprowadzili go za miasto i tam żegnali.

A gdy zię dwaj bracia żegnali, Gabryelek ściskając brata ze łzami, rzekł:

— Florku, zrobiłeś mię szczęśliwym, przystając na zamianę imion, nigdy ci tej przysługi nie zapomnę.

— I ty mię także uszczęśliwiłeś, odstępując miejsca w sklepie, odpowiedział Floruś. — niech ci to Pan Bóg wynagrodzi.

O Gabryelku, a teraz już Floryanie krótko powiemy, że za protekcyą pana Maksymiliana znalazł w Krakowie potężnego opiekuna w jednym z profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor ten, stary kawaler, a niegdyś przyboczny lekarz cesarzowej Józefiny, żony Napoleona I, dziwak z najlepszem sercem, upodobał sobie w chłopcu zapał do nauki, a widząc niezmordowaną pracę, czuwał nad nim w liceum Św. Anny, po zdaniu zaś egzaminu dojrzałości, czyli matury, wziął zupełnie na swój koszt i opiekę i obiecał wykierować go na naturalistę.

Floruś tymczasem, czyli Gabryelek, tak gorliwie wziął się do kupiectwa, że wkrótce stał się prawą ręką i wyręczycielem ojca.

Upłynęło lat kilkanaście — stary Kawiński spoczął na cmentarzu obok swojego ojca i dziada. Floryan, raczej Gabryel, objął po ojcu na siebie handel i prowadził go tak starannie, że jeden z najbogatszych mieszczan sam mu zaproponował, żeby się z jego córką ożenił.

Gabryel, nie mając czasu sam zajmować się ożenieniem, przystał — wziął ślub i dostał 2,000 reńskich posagu, co mu pozwoliło o wiele handel powiększyć. Staruszka matka dopomagała w gospodarstwie synowej, a Pan Bóg młode małżeństwo dwoma aniołkami pobłogosławił. Starszy syn naturalnie otrzymał imię Gabryel — młodszą o dwa lata córeczkę nazwano Marynią.

Tymczasem starszy brat Gabryela, po chlubnem ukończeniu nauk uniwersyteckich, został polecony przez swego opiekuna jednemu z możnych panów, który go wysłał dla dopełnienia wiadomości najprzód do jednego z uniwersytetów niemieckich, a następnie do Paryża. Później nadarzyła się mu sposobność towarzyszenia jednemu z uczonych naturalistów, kosztem rządu francuzkiego, wysłanego do Brazylii, Peru i Chili, dla odkryć i robienia zbiorów osobliwszych zwierząt i roślin.

Do tej wyprawy przyłączono młodego Kawińskiego, jako pomocnika, z odpowiednią pensyą i utrzymaniem. Było to właśnie po śmierci starego kupca.

Brat mu o tem doniósł, zawiadamiając, że sklep z zapasami towarów przeznaczony był testamentem dla niego, a zaś Floryanowi zapisał dom i ogród. Floryan więc mógł rozporządzić domem i ogrodem, jak mu się podobało, na to Gabryel otrzymał wkrótce odpowiedź następującej treści:

„Kochany bracie, zatrzymaj dom i ogród, mieszkaj, rządź i rób, co ci się podoba, ja nic nie potrzebuję; płynę na drugą półkulę, jeżelibym w drodze umarł lub zginął, zabierz to wszystko dla twoich dzieci. Gdy wrócę do kraju (a jeszcze nie wiem kiedy), to o tem obszerniej pomówimy. Teraz ściskam cię serdecznie, a proszę kochaj mnie tak, jak ja ciebie kocham." —

„Brat Floryan."

Gabryel po otrzymaniu tego listu kazał dom i ogród urzędownie otaksować i komorne naznaczyć, a co rok z końcem grudnia wysełał pieniądze za cały rok z góry do Krakowa i tam u bankiera Wolfa na rzecz brata składał. Kiedy zaś Floryan po trzech latach z podróży po-

wrócił, zaczął mu odsełać wprost pieniądze; ale uczony Floryan ani nie odpisywał bratu na listy, ani go nie odwiedzał.

Tak szło wciąż przez lat blizko dwadzieścia od śmierci starego Kawińskiego.

Floryan wciąż podróżował, to do Indyi, to doSyberyi, to na Przylądek Dobrej Nadziei, to gdzieś ku biegunowi północnemu, a nawet opłynął ziemię w około na fregacie Novarra, wysłanej przez Austryę, należąc do tej wyprawy jako jeden z uczonych.

Gabryel narzekał na obojętność brata, ale i sam był także winien. Zagrzebany w interesach kramarskich na małej mieścinie, nigdy nie mógł się wybrać do Krakowa, gdy Floryan był w nim, a gdy zebrał się za jakimś interesem do miasta, to znowu brata nie zastawał.

Gdy dzieci podrosły, pani Gabryelowa nalegała na męża, żeby ją przecie choć raz z dziećmi zawiózł do Krakowa i dał poznać to miasto starożytne, pełne pomników i pamiątek, ale ten odpowiadał:

— Pojedziemy, Petrysiu, pojedziemy, tylko nie teraz, bo mam pilną robotę.

Raz przecież jakoś, wybrawszy się do Krakowa, widział się z bratem, ale z przyjęcia nie

był kontent, a gdy go żona pytała, jak go brat przyjął — odrzekł:

— Moja Petrysiu, ci ludzie uczeni nic nie warci, a przytem bardzo uczciwszy uszy nie mądrzy. Ja go się pytam o zdrowie — on mi pokazuje węża w spirytusie — ja mówię mu o tobie i o dzieciach, a on mówi, że nic nie wiedział, że się ożeniłem; ja pytam, czy odbiera regularnie komorne, a on łaje służącego, że utrącił chrabąszczowi różek. Mnie się zdaje, że mu tu coś brak, dodał kupiec Kawiński, wskazując ręką na czoło.

— O, mój Boże! czy to podobna? zawołała Petrysia.

— Niezawodnie, niezawodnie, bo też proszę cię, zamiast jakichś pięknych mebelków, całe pokoje zastawione różnemi poczwarami. A czyż on nie mógł się ożenić, mając takie piękne utrzymanie. Czyż nie mógł mieć familii? Lata po świecie Bóg wie za jakiemi głupstwami i wydaje pieniądze za robaki, którebym zaraz oknem wyrzucił.

— Masz racyę, mój mężu, odpowiedziała kupcowa — gdyby się twój brat Floryan ożenił, tak jak ty, nie przyszłoby do takiego nieszczęścia. Oj te włóczenie się po okrętach i morzach przewróciło mu w głowie, byłby sobie

porządnym obywatelem, a tak jest tylko profesorem.

— Kochana Petrysiu, profesor profesorowi nie równy. Floryan ma blisko 3000 guldenów pensyi i piękne mieszkanie za darmo — a jak go szanują, jak poważają. Pan minister oświecenia wzywał go kilka razy na naradę do Wiednia; ma podobno kilka orderów krajowych i zagranicznych, ale taki z niego dziwak, że ich nie nosi. Ot wiesz Petrysiu, że gdyby nasz Gabryelek tak nabrał ochoty uczyć się na takiego profesora, to kto wie, czybym się nie ucieszył!....

— A niechże Pan Bóg broni! zawołała Kawińska; nigdybym nie przystała na to, żeby się Gabryelek miał puszczać na morze.

— Hm, przecież mój brat na tych podróżach, na łapaniu osobliwych zwierząt, ptaków, gadów, owadów i robaków zebrał grube pieniądze, zauważył pan Gabryel.

— Niechże ta zebrał i miliony, odpowiedziała pani Petronela. — A czy to kupcem być źle, taki śliczny handel, taki odbyt. Niech Gabryelek będzie kupcem, tak jak jego ojcowie i pradziadowie, a będzie żył w dostatku i spokojności.

— Masz racyę rybeczko! rzekł kupiec.

Tak się skończyła rozmowa małżonków i znowu wszystko szło dawnym trybem, i znów schodził rok za rokiem, a Gabryel z bratem wcale się nie widywał i tylko dwa razy corocznie pisywał do niego, raz na święty Floryan z powinszowaniem imienin — drugi raz ostatniego grudnia, odsyłając bratu komorne za rok ubiegły z domu i ogrodu.

II.
Sąsiad.

Młody Gabryel, syn p. Gabryela po ukończeniu czteroklasowej szkoły w miasteczku rozpoczął praktykę kupiecką i gorliwie zajął się robieniem tytek i rozważaniem cukru na pół i ćwierć funtowe paczki.

Patrząc na jego pilność, cieszyli się rodzice i dziękowali Panu Bogu, że im takie dobre dał dzieci, mówiliśmy bowiem wyżej, że oprócz Gabryelka państwo Kawińscy mieli córeczkę młodszą o dwa lata od brata.

Marynia kończyła rok piętnasty, a była to dziewczynka skromna, pobożna, pracowita i ładniutka, tak że ją w całem miasteczku wychwalano. Pod okiem matki wyuczyła się gotowania, smażenia konfitur i innych tajemnic gospodarstwa domowego; od ojca nabrała zamiłowania do rządności i oszczędności, a już

w robotach i robótkach kobiecych, których nauczyła się na pensyi u Klarysek w Starym Sączu, nikt jej nie zrównał.

Tak żyła szczęśliwa rodzina w dobrem powodzeniu i spokojności.

Ale to szczęście nie było trwałe, jak to zaraz zobaczemy.

Z tyłu za ogrodem Kawińskich był mniejszy, graniczący z tamtym ogrodem, a należący do garbarza Cypryana Grypsa.

Przywędrował on przed kilkunastu laty z głębokich Niemiec; pracował przez lat parę u majstra garbarskiego także Niemca, ożenił się z jego córką i zaczął na siebie prowadzić garbarnię. Że to był człowiek pracowity i zabiegliwy, że znał doskonale swoje rzemiosło i żaden z okolicznych garbarzy nie wyrównał mu w wyprawie skór, więc też miał ogromny odbyt; wyrobów jego poszukiwano, a nawet sławetni szewcy krakowscy najlepsze obuwie ze skór grypsowych wyrabiali, więc też wkrótce dorobił się majątku.

Zamówienia powiększały się ciągle, kilkunastu ludzi pracowało u niego, a gdy wkrótce zabudowania fabryczne okazały się za ciasne, postanowił wybudować nowe.

— Sąsiad kupiec — rozmyślał sobie Gryps — ma duży ogród, ogród ten przydałby mi się

pod fabrykę; otóż jak mu za niego dobrze zapłacę, sprzeda mi go niezawodnie, a wtenczas wybuduję olbrzymią fabrykę, sprowadzę kilkunastu dobrych czeladników z Niemiec i rozpocznę wyprawiać skóry na wielką skalę, a tak w dziesięćkroć pomnożę mój majątek.

To powiedziawszy, otyły Gryps wziął czapkę i laskę i poszedł prościuteńko do sklepu pana Kawińskiego.

— Koszamster Diener, zawołał wchodząc do sklepu — jakże się sąsiad miewa? jak idzie handel?....

— Dzięki Bogu, jak zawsze, to jest dobrze, odpowiedział Kawiński, a może sąsiadeczek przyszedł na szklaneczkę wina? Jakiemże służyć mogę?

— O wino mniejsza, rzekł Gryps, ja tu w ważniejszym przybywam interesie.

To rzekłszy, rozparł się w wielkim skórzanym fotelu, a widząc dobrze zniszczone na niem obicie, dodał:

— Mógłby też sąsiad kupić u mnie dobrą skórę cielęcą i fotel nią wybić, bo to już bardzo zniszczone.

— Wytrzyma jeszcze kilka latek, odpowiedział Kawiński — no może jegomość zje śledzika; wczoraj dostałem prawdziwe holenderskie.

— I śledzia zjem i wina się napiję do kompanii z sąsiadem, ale pomówmy wprzódy o ważnym interesie.

— Słucham sąsiada, jakiż to interes? ja na to, jak na lato.

— Oto zamyślam postawić nowe zabudowania fabryczne. Cóż sąsiad na to?

— Winszuję, winszuję! odpowiedział zapytany — znać, że interes dobrze idzie.

— Nie zgorzej, nie zgorzej — tylko widzi sąsiad, plac mam za mały, i przyszedłem do sąsiada, ażeby mi dopomógł w tej sprawie.

— A cóż ja na to poradzę? — zapytał Kawiński.

— Odprzedajcie mi sad wasz i kwita, zapłacę dobrze, gotóweczką, sreberkiem, pruskiemi talarami.

— Nie, sąsiedzie, tego nie zrobię, odrzekł kupiec, najprzód że ten sad od stu lat jest własnością naszej rodziny, a powtóre że nie jest moją własnością, ale brata Floryana, profesora akademii w Krakowie. Żałuję bardzo, że wam wygodzić nie mogę.

— Hm, hm, mruczał Gryps.... Wiecie co, ja dam za sad pięćset reńskich, to i brat wasz się nie rozgniewa za tak korzystną sprzedaż tego kawałka ziemi.

— Nie mogę, w żaden sposób nie mogę, to ogród brata, mówił pan Kawiński.

— No to pisać do brata, a ręczę, że przystanie. Pięcset reńskich za taki lichy kawałek ziemi! rzekł Gryps, rozjątrzony już nieco niespodziewanym oporem kupca.

— Choćbym i napisał, to się na nic nie przyda, bo mój brat nigdy mi na listy nie odpisuje.

— To pojedźcie do Krakowa, nie tak to przecie daleko, zawołał Gryps.

— Sąsiad wie o tem dobrze, że ja nigdy do Krakowa nie jeżdżę, odparł niechętnie Kawiński.

Gryps się zmarszczył i odpowiedział z gniewem:

— To są gadaniny i basta. Ostatnie powiem słowo, a jeżeli sąsiad mnie nie posłucha, to mu pokażę, co umiem! Ja tego ogrodu koniecznie potrzebuję, dam siędmset reńskich i basta! Chcesz, bierz — nie chcesz, to pożałujesz. Namyśl się dobrze, panie Gabryelu! Namyśl się, radzę ci, bo będzie źle, bardzo źle!

— A żebyś mi jegomość dał i tysiąc reńskich, to ogrodu nie sprzedam.

— Ha, niechże ci zmarnieje ten ogród, krzyknął Gryps, zrywając się z fotelu.

I porwawszy czapkę i laskę, z gołą głową wypadł na ulicę, klnąc na cały głos. Gabryel

rozgniewany a nawet zmięszany tą napaścią, patrzał za odchodzącym garbarzem, który sapiąc, toczył się przez rynek.

— Grubijanin! gbur! odgraża się.... Ciekawy jestem, co mi może zrobić! Dzięki Bogu, nasza firma nie tak łatwa do obalenia.

Biedny Kawiński, nie znał złości ludzi, a jeszcze takich, jak Gryps; właśnie też kiedy się czuł najbezpieczniejszy, złośliwy garbarz uknuł spisek na jego szczęście, pomyślność i spokojność.

W pół roku po tej sprzeczce kucharka kupca wbiegła przestraszona do sklepu i powiedziała do pana spokojnie pijącego ranną kawę:

— Panie, panie! patrz no pan, naprzeciwko naszego sklepu na rogu otworzył żyd sklep taki sam sklep, jak nasz, ale daleko piękniejszy.

Zerwał się kupiec z krzesła i z bijącem sercem pobiegł do drzwi, mówiąc:

— To być nie może, Kasiu! musiał cię ktoś oszukać.

Ale jakież było przerażenie kupca, gdy nadedrzwiami sklepu ujrzał ogromny szyld z napisem:

SPEZEREI UND WEIN-HANDLUNG
VON
Berl Jajteles aus Tarnow
czyli
HANDEL KORZENNY I WINNY
Berla Jajtelesa z Tarnowa.

— Rozumiem, szepnął przerażony Kawiński, to zemsta Grypsa i zarazem śmierć moja!

Jakby na potwierdzenie tego domysłu ze sklepu wytoczyła się gruba figura garbarza, a na szerokiej czerwonej twarzy widać było uśmiech zadowolonej zemsty. Z rozkoszą wpatrywał się on w drżącego i wybladłego kupca.

Tymczasem służąca opowiedziała nowinę i pani kupcowa przybiegła do męża i starając się go pocieszyć, mówiła:

— Czegoż się martwisz, Gabryelku? Otworzyli sklep, to im starosta zamknie; przecież u nas starozakonnym nie wolno osiadać.

— Nie wolno było, ale teraz nastało równouprawnienie i wszelkie dawne miejskie przywileje przepadły.

Napróżno żona i dzieci usiłowali pocieszyć strapionego kupca. Na wszystkie ich perswazye nic nie odpowiadał, tylko kiwał głową i kiedy niekiedy wyszeptał: Gryps! Gryps!

III.
Bankructwo.

Bliższe objaśnienia, jakie Gabryelek pozbierał w miasteczku okazały, że w samej rzeczy wszystkiego Gryps narobił.

Jak najtajemniej od pół roku zwolna przygotowywał wszystko, ażeby za jednym zamachem zwalić Kawińskiego. Najprzód zakupił narożny dom naprzeciwko dawnego sklepu; potem w miasteczku o parę mil odległem zamówił u stolarza szafy sklepowe i nie żałował pieniędzy, aby tylko były okazałe. Nakoniec pojechał do Tarnowa, wyszukał tam starozakonnego kupczyka, który obiecał Grypsowi częściowo spłacić sklep i towary, na co mu garbarz pożyczył pieniędzy. Nawzajem garbarz, namawiając go do miasteczka, zapewnił, że będzie miał wielki odbyt.

Wybrał zaś dlatego starozakonnego, że ludność tego wyznania ma osobliwszą zdolność do handlu i umie przywabić publiczność.

Tak zaś to zgrabnie robił, że nikt nie przeczuwał w miasteczku, co się stanie i mieszkańcy z zadziwienia pootwierali gęby, gdy ni ztąd ni z owąd ujrzeli przepyszny sklep naprzeciw handlu Kawińskich, który to zniknął w obec wielkości i zamożności nowego handlu.

Szyld nawet gotowy przywieziono z Krakowa i zawieszono przed świtem. A był to jedyny w całem mieście szyld, na którym pół-łokciowe złociste litery lśniły się w świetle słonecznem. Sługi z całego miasta zbiegały się podziwiać ten szyld piękny i natychmiast zawiadomiły swoje państwo o pojawieniu się nowego handlu.

Wkrótce ruch opanował całe miasto, zewsząd jak procesya ciągnęły gromady dla oglądania nowego sklepu, który nagle, jak grzyb z pod ziemi w nocy wyszedł, a gapiący się szeptali, oglądając się na sklep dawny:

— Co też Kawińscy na to powiedzą?

Każdy człowiek ma przyjaciół i nieprzyjaciół, a przynajmniej zazdroszczących mu dobrego powodzenia. I Kawiński, choć w życiu nic złego nikomu nie wyrządził, miał dosyć niechętnych, a ci mówili teraz:

— Dobrze tak Kawińskiemu — dosyć się nas naobdzierał, niechże teraz i inny zarobi.

Dosyć że całe miasto przez cały tydzień o niczem nie mówiło, tylko o nowym sklepie, a Berla Jajtelesa wszyscy mieli na ustach. Przewidział to dobrze Gryps i śmiał się do rozpuku, widząc, jak mu się dobrze udało. Był teraz pomszczony i mówił do siebie:

— Tak, tak, pożałujesz Kawiński, żeś zadarł z Grypsem, żebyś był przyjął moją propozycyę, siedziałbyś sobie spokojnie do śmierci, ale teraz będzie tobie ciepło!

Pan Gabryel ochłonął tymczasem nieco z obawy, jakiej mu napędziło otwarcie nowego sklepu i zaczął zimniej się zapatrywać na swego przeciwnika.

— Moja droga, mówił do żony, Jajtelesa nikt nie zna i wkrótce będzie musiał budę zamknąć. Głupstwo ubiegać się ze starą i poczciwą firmą!....

Ale biedny kupiec przerachował się, ufając zanadto mieszkańcom miasteczka; przez cały ranek zaledwie parę osób przyszło do sklepu po drobiazgi; wczoraj jeszcze obadwaj Gabryele nastarczyć gościom nie mogli, a dziś cicho i ponuro w sklepie Kawińskich, jakby w klasztorze.

Tymczasem naprzeciwko ogromny już panował ruch, wszystko co żyło, jedni przez ciekawość, drudzy przez zazdrość, inni, aby staremu na złość zrobić, cisnęli się do Jajtelesa. Mianowicie też tacy, co u Kawińskiego zadłużonymi byli, biegli do nowego sklepu. A poczciwy kupiec wzdychał i mówił do siebie:

— Ktoby się był spodziewał.... taki ścisk.... no, no.... cierpliwości, powrócą oni, powrócą!

Nadzieje te jednak zawiodły Kawińskiego, nazajutrz, ba i w tydzień później sklep dawny stał pustką.

Zrazu Jajteles miał za sobą nowość, potem sprzdawał o wiele taniej, a prawie bez zysku, bo mu szło o przyciągnienie publiczności, nieraz nawet tracił na towarze, ale bez niego nie wypuścił targującego się gościa. Mieszczanom bardzo się to podobało, mianowicie też gosposie ostro upominały sługi, żeby tylko u Jajtelesa kupowały, a te chętnie słuchały, bo nowy kupiec nie żałował słodkiej wódeczki. Dla studentów na podarki miał Jajteles lukrecyę smażoną i pyszny chleb świętojański, dla dziewczynek rozynki i migdały.

Więc Gryps radował się i śmiał, a Kawiński wzdychał i smucił.

Wkrótce przyszło mu nowe jeszcze zmartwienie.

Powiadają starzy ludzie, że jedno nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, ale w ślad za niem inne walą się na człowieka. Kawiński co roku oszczędzał ze swoich dochodów pewną sumkę, raz większą, to znów mniejszą w miarę dochodów, a nie chcąc, aby pieniądze próżnowały, składał je u jednego z najzamożniejszych bankierów krakowskich. Pieniądze te prze-

znaczał na posag Maryni, zamierzając sklep zapisać synowi. Tym sposobem zebrało się przeszło 5,000 guldenów austryackich.

Tymczasem jednego dnia rozeszła się wieść, że potężny ów bankier zbankrutował i wiele osób, które mu powierzyły majątki, pogrążył w nędzy. Kawiński jak piorunem rażony tą wiadomością, siadł na pocztę i pośpieszył do Krakowa, spodziewając się coś uratować, ale przybył za późno — wszystko przepadło!!

Był to cios niepowetowany dla rodziny Kawińskich. Kiedy ojciec wrócił z Krakowa, w szczęśliwym niedawno domku smutek i zwątpienie zapanowały.

Gabryelek kończył rok ośmnasty: wysoki, ładny, świeży, był zarazem chłopcem skromnym, zdolnym i pracowitym. Widział on dobrze, w jak niepomyślnem cała rodzina znalazła się położeniu. Nie tyle go martwiła strata sumy u bankiera złożonej, ile Jajteles, który wszelkiemi sposobami starał się odciągnąć kupujących od Kawińskich, a przyciągać do siebie. Kilkakrotnie doradzał ojcu, aby podobnie jak ich współzawodnik obniżyć cenę towarów i przez jakiś przynajmniej czas sprzedawać bez zysku; ale stary kupiec odpowiadał mu na to:

— Tego nie uczynię. Uczciwy kupiec musi mieć zyski na towarach, bo za nie płaci rzetelnie, a na utrzymanie siebie zarabiać musi. Czekajmy cierpliwie, goście nasi zwolna do nas powrócą — nadzieja w Bogu.

Pomimo tych nadziei goście nie powracali, a sklep Kawińskich stał pustkami. Wprawdzie żyli oszczędnie, wydawali mało, ale cóż ztąd, gdy prawie żadnego dochodu nie mieli. Teraz do poprzednich niepomyślności przyłączyła się nowa, a bardzo groźna troska.

Na miesiąc przed otworzeniem sklepu Jajtelesa i Grypsa, Kawiński sprowadził znaczną liczbę świeżych towarów. Jak wiadomo, kupiec prawie nigdy nie sprowadza towarów za gotowe pieniądze. Bierze on je na kredyt, a zamiast pieniędzy daje weksel. Jeżeli weksel czyli nota nie zostanie na termin zapłacona, to oddają ją do sądu i w parę dni potem schodzą urzędnicy, zabierają wszystko, co niepłacący posiada i sprzedają publicznie na zaspokojenie długu.

Otóż właśnie i Kawiński taki weksel posłał za sprowadzone towary, a weksel ten wynosił blizko 2,000 guldenów. Nie pierwszy raz to robił, bo od dwudziestu dziewięciu lat, co roku po kilka nawet wysyłał weksli i płacił zawsze jak najpunktualniej.

Ale teraz gdy targ zupełnie ustał, z czegoż miał należytość zapłacić?

Przed bankructwem bankiera Kawiński wcale nie troszczył się o zapłatę wekslu; „w ostatnim razie" myślał sobie, „wezmę pieniądze z Krakowa i na termin zapłacę, a towary przecież mi zostaną i z czasem się sprzedadzą". Ale po bankructwie nie miał jednej chwili spokojnej. Wprawdzie termin zapłaty wekslowego długu dopiero za cztery miesiące przypadał, lecz przy tak lichym targu nie można było nawet marzyć o tem, żeby się uzbierała potrzebna suma.

Najbardziej martwił się Gabryelek, bo dobrze wiedział, że gdy ojciec nie będzie mógł zapłacić, ogłoszą go bankrutem, a takiej hańby poczciwy kupiec z pewnością nie przeżyje. Cóż wtedy stanie się z biedną matką i siostrą!

Cztery miesiące prędko przebiegną, z każdą godziną termin się zbliżał.

Do tej troski przyłączyła się jeszcze inna, choć mniejsza, ale także dotkliwa. Termin zapłaty czynszu z domu i ogrodu stryjowi prawie dochodził. Należało sto guldenów złotem posłać do Krakowa; złotem, mówimy, bo Kawiński wiedząc, że banknoty raz lepiej, drugi raz gorzej płacono, posyłał zawsze bratu złoto i kupował umyślnie dla niego cesarskie dukaty.

I tak zwykł był mawiać do żony:

— Mieszkamy za bezcen, niechże kochany brat straty na banknotach nie ponosi....

Gabryelek obliczył cały zasób gotówki, a wszystkiego razem pięćdziesięciu guldenów nie było. Zresztą gdyby tę resztę pieniędzy wydali, nie byłoby za co kupić żywności.

— Jeżeli nam Bóg nie pomoże, mówił sam do siebie Gabryelek po obliczeniu kasy — tośmy zginęli.

IV.

Nowe zmartwienie.

Aż dotąd szło jeszcze siako tako, wprawdzie zewsząd nagromadziły się chmury przeciwności nad biedną rodziną, lecz przynajmniej zdrowie wszystkim służyło.

Nagle jednej nocy stary Kawiński począł jęczeć. Zerwali się wszyscy na nogi — rozświecono światło. Matka i dzieci otoczyli łóżko z największą trwogą; a trwoga ta wzrosła niezmiernie, gdy ujrzeli ojca pogrążonego w silnej gorączce. Rozpalony jak ogień, rzucał się na łóżku bez przytomności, wykrzykując wciąż:

— Och! Boże!.... Gryps..... Jajteles..... bankier.... weksel.... bankructwo!

Natychmiast Gabryelek poszedł po lekarza, a matka z Marynią to okładały ojcu głowę zimną wodą, to podawały limonadę.... I nic dziwnego, że Kawiński uległ pod brzemieniem troski. Ze zmartwienia zapadł ciężko na gorączkę nerwową.

Niepodobna opisać boleści nieszczęsnej żony i smutku biednych dzieci. Lekarz przyprowadzony przez Gabryelka, pocieszał ich, że nie ma niebezpieczeństwa, ale na jego twarzy można było wyczytać, że to niebezpieczeństwo jest i jest groźne. Dnie i noce czuwali przy łóżku ojca, słuchając jego narzekań w gorączce i nieprzytomności wypowiedzianych. Każde słowo chorego jak ostrze sztyletu przeszywało ich serca. Dzień za dniem, noc za nocą powoli schodziły, polepszenia wcale nie było!....

Jednej nocy Gabryel, na którego przypadła kolej pielęgnowania ojca, spostrzegł z radością, że choremu znacznie się polepszyło — gorączka po północy opuściła go prawie zupełnie, oczy nie były tak mętne i błędne. Radość ta jeszcze go bardziej ogarnęła, gdy ojciec po trzech tygodniach nieprzytomności po raz pierwszy poznał go i zawołał cichym, ale wyraźnym głosem:

— Gabryelku! daj mi pić!

Gabryelek podał ojcu lemoniadę, który napiwszy się usnął, oddychając regularnie i spokojnie. Kochającemu synowi łzy zakręciły się w oczach, upadł na kolana i zaczął modlić się gorąco, dziękując Panu Bogu za tę niezmierną łaskę.

Teraz gdy obawa o życie ojca minęła, inne troski tem silniej ogarnęły chłopca. Przyszedł mu na myśl ów nieszczęśliwy termin wypłaty; wiedział dobrze, że chociażby ojciec odzyskał zdrowie, to niemożność zapłacenia długu niezawodnie na nowo powali go na łoże niemocy — a tu nie było żadnego sposobu zebrania potrzebnej sumy.

Można było wprawdzie hurtownie sprzedać wszystkie towary, sprzedać ruchomości i sprzęty, albo nawet sklep cały ze wszystkiem, co się w nim znajdowało i zapłacić dług, ale cóż potem?.... z czego żyć.... co robić? Gdybyż przedłużono im termin zapłacenia? Gdyby można wreszcie od kogo uzyskać pożyczkę na zapłacenie długu?.... lecz gdzie tam, ani o tem myśleć. Tak więc od nikogo nie można się było spodziewać pomocy, chyba od jednego opiekuna nieszczęsnych — od Boga!

Naraz poruszenie się ojca wyrwało go z zamyślenia, w którem był pogrążony.

— Gabryelu! Gabryelu! zawołał siadając o własnej sile na łóżku, pójdź do mnie! W jednej chwili chłopiec otarłszy łzy, był przy ojcu!

— Czy ci lepiej, kochany ojcze? zapytał, całując go w rękę.

— Słuchaj mnie, odpowiedział Kawiński cichym głosem, jutro musisz jechać do Krakowa, do stryja, rozumiesz....

— Rozumiem, ale po cóż mam jechać do stryja?

— Powiesz mu, że jestem chory, że nam źle powodzi się i przeprosisz, że mu nie odesłałem komornego z domu i ogrodu — rozumiesz? — Poprosisz go odemnie, żeby był cierpliwym, że jak wyzdrowieję, jeśli Pan Bóg dozwoli, to się postaram, żeby mu.... oddać.... Kończąc te słowa upadł na poduszki i dodał: tylko pamiętaj! jutro.

— Proszę ojca, szeptał Gabryelek, a czy niemożnaby napisać do stryja.... Jakże mógłbym oddalić się, kiedy ojciec tak mocno chory....

— Nie, nie, odrzekł z niecierpliwością Kawiński.... musisz jechać jutro. Może też dowiedziawszy się o naszem nieszczęśliwem położeniu, dopomoże nam, może uratuje nasze nazwisko od wstydu i hańby. Jedź — matka tu

sobie poradzi bez ciebie.... a stryjowi trzeba wszystko dokładnie opowiedzieć i wytłumaczyć.... Jedź, Gabryelku, ja tak chcę.

— Bardzo dobrze, pojadę i zrobię wszystko, co tatko każe, rzekł Gabryelek.

Skoro pierwszy blask rozjaśnił okno, pani Kawińska leciuchno uchyliła drzwi, weszła do pokoju męża, ażeby zająć miejsce syna. Jakkolwiek weszła cichutko, czujny chłopiec usłyszał, zerwał się na równe nogi i wszystko jej opowiedział.

— Więc trzeba jechać, moje dziecię, kiedy ojciec tak kazał; któż wie, może to i dobrze będzie, przecież to rodzony brat ojca, człowiek mający się dobrze. On zajęty swemi naukami, zapewne nic nie wie o naszych zmartwieniach. A gdy się dowie, to niezawodnie z pomocą nam pośpieszy, a może nawet do zapłacenia wekslu pomoże....

Tak został postanowiony wyjazd Gabryelka.

Tymczasem zbudzona Marynia zajęła miejsce przy chorym, a pani Kawińska przygotowała wszystko, co potrzeba było Karolkowi na drogę.

Gdy Gabryelek po śniadaniu pożegnał matkę i szedł ku drzwiom, Marynia zastąpiła mu

drogę i i oddając mu paczkę w papier zawiniętą, rzekła:

— Kochany braciszku, weź tę paczkę, jest w niej ładna serweta na stół, którą, nocami przy ojcu czuwając, wyszyłam; mówiła mi sąsiadka pani Klajnowa, że za takie rzeczy dobrze płacą w Krakowie. Może ci się uda sprzedać, Gabryelku, a tak chociaż cokolwiek będę mogła dopomódz rodzicom!....

Gabryel nie mógł oprzeć się ciekawości i rozwinął paczkę, serweta w istocie była bardzo pracowicie i gustownie zrobiona. Na ciemnem tle kaszmirowem, rozrzucone kwiaty żywemi barwami jedwabiem, bardzo pięknie i gustownie dobrane, zachwycały oko; w samym środku girlanda z róż, bogato liściem zdobna. Ileż nocy biedne dziewczę spędziło bezsennie, ileż godzin we dnie oszczędzonych od innej pracy zużyło, ażeby to prawdziwe arcydziełko wykonać!.... Gabryelkowi łzy się zakręciły, przycisnął do piersi siostrę i okrywając jej główkę pocałunkami, nie mógł wyrzec jak tylko te słowa:

— Biedna! droga moja Maryniu! Pan Bóg ci wynagrodzi tę mozolną pracę!

Potem schwyciwszy zawiniątko, pobiegł na pocztę i wsiadł do karetki. Pocztylion za-

grał zwykłą melodyę, trzasnął z bicza, a wóz szybko potoczył się traktem krakowskim.

Była już godzina jedenasta, kiedy Gabryelek przybył na Stradom.

Widok królewskiego zamku na wyniosłym Wawelu tak go zachwycił, że zamiast iść prosto ulicą Grodzką, puścił się do koła zamku, ażeby go ze wszystkich stron obejrzeć; potem przeszedłszy po nad Wisłą, a nie wiedząc, w której stronie stryj mieszkał, szedł brzegiem rzeki i wydostał się na Zwierzyniec.

Tu zaczął mu głód dokuczać, w pośpiechu wybrania się w podróż nic z sobą do jedzenia nie wziął, a skromne śniadanie, które zjadł na wyjezdnem, nie nasyciło dostatecznie apetytu młodego i zdrowego chłopca. Nic więc dziwnego, że zmęczony podróżą przeszedłszy się także tęgi kawał drogi, uczuł potężny głód. Właśnie przechodził około drzwi jednej ze zwierzynieckich gospód, gdy nagle zaleciał go zapach barszczyku z kiełbasą, który tutaj bardzo smaczno przyprawić umieją, zapachem tym pociągnięty, znalazł się naraz w izbie gospodnej. Jakaś jejmość otyła i czerwona podawała właśnie siedzącemu za stołem wyrobnikowi tę smaczną potrawę, gdy Gabryelek wszedł do

izby i jakby przelękniony swoją śmiałością stanął na środku i nie wiedział, co począć.

Owa jejmość ujrzawszy ładnego chłopczynę, po którym znać było, że nie jest tutejszym, a po skromności w ułożeniu, że nie należy do zwykłych gości szynkowych, zapytała z dobrocią:

— A czego to sobie panicz życzy?

— Proszę pani, czy nie mógłbym się dowiedzieć, gdzie mieszka profesor uniwersytetu pan Floryan Kawiński.

— Panicz widno nie tutejszy, zagadnęła gospodyni, nie odpowiadając wprost na zapytanie jego.

— Tak jest odpowiedział.

— A zdaleka?

Chłopiec wymienił nazwisko rodzinnego miasteczka.

— Wiem, wiem, rzekła jejmość, to tęgi kawał, cztery mile, mój miał tam stryjeczną, co się wydała za Kazimierza Palkę, handlarza płótna, może go panicz zna? A za jakimże interesem? mówiła dalej, nie czekając odpowiedzi, czy piechotą?

— Do Podgórza przyjechałem, a tu doszedłem piechotą, tylko nie wiem, czy dobrze idę, bo pierwszy raz dopiero jestem w mieście waszem.

— Toć ja przecie nie wiem, gdzie panicz idzie? odpowiedziała gospodyni.

— Szukam mojego stryja, który jest profesorem przy tutejszym uniwersytecie i nazywa się Floryan Kawiński.

— Słyszałam ja coś o tym panu, ma to być stary dziwak, bo Jędrzej, mąż mojej kumoszki zna się z jego służącym. Ej toć się o niego dopytamy.... ale mnie się widzi, że panicz głodny, bo tak apetycznie spogląda na Bartłomieja, co tam zmiata barszczyk. Nie dziwię się temu, bo też takiego barszczu w całym Krakowie nie znajdzie. Może dać paniczowi porcyjkę?

Gabryelek rozczerwienił się jak piwonia, że domyślna gosposia odgadła jego tajemne życzenie i rzekł nieśmiało:

— Może barszcz bardzo drogi, a ja nie mam wiele pieniędzy....

— Ej drogi, gdzie zaś drogi — cała porcyjka z chlebem razem dziesięć centów kosztuje; zreszą ma panicz, to dobrze, a nie ma pieniędzy, to i tak dobrze, bo przecież podróżnego, a jeszcze tak grzecznego chłopczynę godzi się poczęstować. Zaraz przyniosę.

To rzekłszy poszła do drugiej izby i za chwilę wyniosła talerz gorącego barszczu, w któ-

rym pływał kawał kiełbasy i okrawek wędzonki z żeberkiem, pieprzem posypany.

Poczem usiadła na ławce obok Gabryelka i przypatrując się z przyjemnością apetytowi chłopca, który z wielkim smakiem barszcz zajadał, poczęła się go wypytywać o powody przybycia do Krakowa.

Gabryel szczery i prawdomówny, a grzecznem przyjęciem rozradowany, nie taił wcale położenia swojej rodziny i otwarcie opowiedział gościnnej gosposi wszystko.

Wysłuchała ona z wielkiem zajęciem opowiadania, a potem rzekła:

— Teraz już wiem, o co chodzi. Stryjaszek panicza ma być człowiek bardzo uczciwy, ale przytem dziwak. Z nikim nie żyje, tylko ze swoim starym służącym, takim samym jak i on dziwakiem. Obadwa włóczą się po świecie i przeróżne gadziny i robaki zbierają; podobno warzą z nich rozmaite leki.... Nic go też nie zajmuje, tylko ono robactwo. Jeżeli panicz będzie mógł się z nim rozmówić, gdyż to nie łatwo, bo on nigdy czasu nie ma, to trzeba mu zaraz bez żadnej ogródki opowiedzieć wszystko i nie odejść od niego, dopóki interesu nie załatwi, bo jak panicz tego nie zrobi, to on zaraz o wszystkiem zapomni, a nawet i o paniczu, i

cała jazda na nic się nie przyda.... trzeba go koniecznie dotrzeć odrazu.

— A czy on jest w Krakowie, bo podobno bardzo często wyjeżdża? — zapytał Gabryelek.

— Jest, jest, bo dopiero wczoraj zrobił historyę, o której całe miasto gadało. Wystaw sobie panicz, uciekł mu jakiś zamorski ptak na planty, a on w zapamiętaniu nie uważający, że nie ma na sobie innego ubrania, tylko szlafrok i pantofle, wyleciał na plantacye i tak gonił w samo południe za tym ptakiem, a hurma chłopaków za nim biegała. Dopiero się później opamiętał i powrócił do domu nie złapawszy ptaka.

— A jakże się mogę o niego dopytać? zagadnął Gabryelek. Czy iść do uniwersytetu i tam go szukać?

— Ej gdzież tam, przecież on już od dziesięciu lat profesorem nie jest, tylko jest niby uczonym i żyje sobie ze swojego majątku. Był profesorem, ale mu się w końcu uprzykrzyło uczyć studentów, bo lubi jeździć za temi gadzinami po świecie, a profesorstwo mu do tego przeszkadzało. Niech jeno panicz idzie do miasta i spyta się w Akademii na św. Anny ulicy, to mu tam powiedzą.

Gabryelek zapłaciwszy za śniadanie, oczyścił się nieco z kurzu przy pomocy grzecznej gosposi, przewdział surdut i zabierał się ku wyjściu.

— A co to tam panicz ma za węzełek? zapytała gosposia, wskazując zawiniątko; przecie z tem nie można iść do stryjaszka; a może to jaki podarunek dla niego?

— O nie, to robótka mojej siostry, jeżeli pani pozwoli, to zostawię ją tutaj, a za powrotem wstąpię i pani podziękuję za przechowanie.

— I owszem i owszem, niech się panicz nie boi, nic tu nie zginie. I odebrawszy od Gabryela węzełek, wyprowadziła go na ulicę i wskazując ku miastu, dodała: prościuteńko, jak strzelił. Tam, gdzie są te zielone aleje, to planty, niech je panicz minie i idzie prosto, potem wszedłszy w rynek obrócić się na lewo, a ztamtąd już widać duży dom, to jest Akademia przy Jagiellońskiej ulicy.

Gabryelek udał się za daną wskazówką i z łatwością trafił do uniwersytetu. Tam powiedziano mu, na jakiej ulicy mieszka uczony zoolog, a że nie było daleko, więc odrazu znalazł piękny dom, w którym pierwsze piętro zajmował stryj Floryan.

Wszedłszy na górę, nie wiedział, gdzie się ma obrócić.

Kilkoro drzwi znajdowało się w sieni.... do których zapukać? Stał przez chwilę, namyślał się, a potem ujął za klamkę pierwszych obok schodów, ale te były zamknięte. Cisza uroczysta panowała w sieni — nie miał się kogo zapytać....

Wprawdzie guziki mosiężne znajdowały się przy dwojgu drzwiach, dosyć było pociągnąć i zadzwonić; lecz w rodzinnem miasteczku Gabryela wymysłów tych nie znano, a jeżeli w paru miejscach znajdowały się dzwonki przy drzwiach, to były i druty do dzwonienia, lecz o guzikach tam nie słyszano.

Chłopiec stał przez chwilę, potem jeszcze raz ruszył klamkę, a gdy pomimo to nie otwierano, zwrócił się ku drzwiom naprzeciw tamtych położonych.

Zaledwie dotknął się klamki, drzwi odskoczyły i Gabryelek znalazł się w pokoju. Aha, pomyślał, przecież znalazłem stryjka.

Przymknął drzwi za sobą, obejrzał się w koło, znajdowało się tu zaledwie parę sprzętów: duży stół, parę krzesełek trzciną wyplatanych i oto wszystko. Za to na ścianach od góry do dołu wisiały klatki mosiężne, druciane,

drzewiane, a w nich najosobliwsze ptaki o cudnych jaskrawych barwach pierza, wydając najprzeraźliwsze głosy.

U pułapu wisiały mosiężne druciane obręcze, a w nich kołysały się papugi z wdziękiem.

Z wielkiem zdumieniem przypatrywał się nasz małomieszczanin tym pięknym ptakom, które wprawdzie znał z rysunku, ale żywych dotąd nigdy nie widział. Po chwili przybliżył się do jednej z nich najpiękniejszej i chciał ją pogłaskać po grzbiecie; ale zaledwie wyciągnął ku niej rękę, gdy ptak nastroszył pióra i wydawszy przeraźliwy krzyk, ugryzł go do krwi w palec.

Gabryelek z krzykiem rzucił się w tył, a oglądając skaleczony palec, z którego kroplami krew spływała, krzyknął:

— Ach ty szkaradnico! przecież ci nic złego nie chciałem zrobić, ala poczekaj, nauczę ja ciebie,, ty niegodziwy ptaku.

I poskoczył ku papudze, chcąc ją trochę niegrzecznie skarcić, gdy ptak rozdziawiwszy dziób, zawołał.

— Kasperek! głupi, głupi! precz, precz!

Gabryelek struchlał; jak żyje, nie słyszał ptaka gadającego. Blady i wystraszony, od-

skoczył w bok i uderzył głową w klatkę, w której biała papuga siedziała.

— Kakadu! kakadu! Kasperek! zawołała skrzeczącym głosem.

Jeszcze bardziej przelękniony, chłopiec cofnął się w drugą stronę, patrząc z trwogą na białego ptaka, gdy siedzący za nim czerwono-zielony Ara wrzasnął:

— Kawiński, Kawiński! stary pryk!

W miasteczku rodzinnem Gabryela, choć tylko o kilka mil od Krakowa odległym wierzono w czary i uroki. Chłopiec od młodości nasłuchał się powieści o czarownicach, o zaklętych księżniczkach w zwierzęta i ptaki; nic więc dziwnego, że usłyszawszy mówiąc ptaki, przeraził się do najwyższego stopnia i uwierzył, że się znajduje pomiędzy zaklętemi istotami. Dodajmy do tego przeraźliwy wrzask, wydawany przez kilkanaśśie rozdrażnionych papug, a będziemy mieli wyobrażenie jaki przestrach ogarnął nieszczęśliwego chłopca.

Straciwszy przytomność, rzucił się na oślep we drzwi naprzeciw będące, pragnąc uciec przed strasznemi prześladowcami.

Biedny Gabryel z deszczu trafił pod rynnę; w pomięszaniu zamiast przez drzwi wchodowe do sieni, dostał się do sąsiedniego pokoju.

W obszernym tym salonie przy wszystkich ścianach znajdowały się skrzynki drewniane, grubemi prętami żelaznemi z przodu zakratowane, z poza których wyglądały szkaradne, powykrzywiane pyski małp, zgrzytających zębami i robiących obrzydłe grymasy.

Po nad klatkami wzdłuż ścian stały i wisiały szkielety, powypychane węże i krokodyle, ryby kształtów niezwykłych i dziwacznych i rozmaite potwory. Większe małpy poprzykuwane łańcuchami do słupów żelaznych, skakały po pokoju tak daleko, jak im długość łańcuchów dozwalała, i na widok Gabryela poczęły przeraźliwie wrzeszczeć.

To dobiło biednego chłopca, nie wiedział, czy żyje czy nie.... Gdy wtem ciężkim krokiem zbliżył się ku niemu pawian, skłonił się komicznie i wyciągnął do niego brunatną kosmatą łapę. Gabryelek myśląc, że małpa chce go podrapać, palnął go ręką w łapę, wołając:

— Masz! masz, przeklęty szatanie!

Pawian z wrzaskiem odskoczył. Chłopiec miał się ku drzwiom, ale pawian skoczył za nim, w jednej chwili siadł mu na karku i począł tak dotkliwie mścić się za niegrzeczne obejście, że Gabrylek do reszty stracił przytomność i napróżno usiłując wszelkiemi siłami u-

wolnić się z łap pawiana, począł z całego gardła wołać o pomoc, a tymczasem krew z podrapanego czoła spływała mu na twarz i oślepiała go niemal.

Do pawiana wnet się przyłączyły i inne małpy, a gdy Gabryel miotając się broniąc ku której zbliżył, nie omieszkała go zadrasnąć, uderzyć lub ugryźć.

Chłopiec dorwawszy pręta stojącego przy ścianie, bronił się, jak mógł i na wszystkie wywijał strony. Wtem dał się słyszeć trzask bata i Gabryel poczuł, że pawian zlazł mu z karku. Wnet i inne małpy przestały wrzeszczeć, zrobiło się cicho i dał się słyszeć ludzki głos:

— Co to za awantury? co to za brewerye? Kto ci tu pozwolił wejść, ty urwisie jakiś? Coś ty za jeden? gadaj mi zaraz!

Gabryelek wyciągnął chustkę z kieszeni, obtarł twarz zakrwawioną i ujrzał jakiegoś niemłodego człowieka z opaloną skórą jak murzyn i biczem w ręku....

Zbity i przerażony, nie śmiał ust otworzyć, nie wiedząc zresztą, kto do niego mówi, czy to nie jest przypadkiem jaki czarnoksiężnik, a może i zły duch w ludzkiej postaci. Nieznajomy nie mogąc wydobyć odpowiedzi, pochwycił chłopaka za ramię, a podniosłszy bat, którym

porządek pomiędzy małpami zaprowadził, groźno krzyknął:

— Czy będziez odpowiadał hultaju! mów bo cię tak skropię, że ci się nieboszczka prababka przyśni — mów kto jesteś?

Gabryel poznawszy, że ma z człowiekiem do czynienia, ochłonął z przestrachu i rozjątrzony takim obejściem się małp i ludzi, odrzekł:

— Kto jestem? Nie jestem ani urwis, ani hultaj, ale Gabryel Kawiński i przyszedłem tu do mego stryja Floryana Kawińskiego. Twarz służącego rozjaśniła się i rzekł:

— A czemuż pan od razu nie mówisz! proszę iść za mną do pana doktora.... pocóż tu było włazić pomiędzy małpy, przecież jest dzwonek, to mógł pan dzwonić, a nie bić się z tym złośliwym pawianem.

I ujął Gabryela za rękę, ażeby go do stryja poprowadzić, gdy w wtem we drzwiach salonu, ukazała się nizka, chuda figurka w szlafroku, pantoflach i krymce na głowie.

Był to mężczyzna około sześćdziesięciu lat mający, siwy i łysy, rysów bladych i zwiędłych Zmierzył on szarem okiem Gabryela i zapytał:

— Co tu za awantury wyprawiacie? czyż nie mogę mieć jednej chwili spokojnej do pracy?.... Co się tu stało.... ach, ach! krzyknął

nagle, ujrzawszy na ziemi małą małpeczkę rozciągniętą bez ducha. Co to jest? moja Marykita na ziemi — moja prześliczna małpeczka z Guyany! I rzucił się ku martwej, maleńkiej małpeczce rozciągniętej bez życia na ziemi, trzeźwiąc ją wszelkiemi sposobami, ale nadaremno.

— Jedyny egzemplarz w całej Europie małpka, której nie chciałem za pięćset talarów odstąpić gabinetowi zoologicznemu w Berlinie! Ach ty niezdaro! stary niedołęgo.... precz! precz! wypędzam cię ze służby! Za drzwi natychmiast!

— Panie, ja nie zabiłem tej małpy, zawołał służący. Siedziałem w pracowni oczyszczając szkielet dzióbaka, gdy wtem słyszę piekielny wrzask w pokoju papug....

— Co? może i tam jakie nieszczęście się wydarzyło?

— Nie, papugom nic się nie stało, ale wpadam tu i spostrzegam na ramionach tego pana Tupinambasa, młócącego go łapami po głowie. Gdym go obronił od zażartej małpy, powiedział mi, że przyszedł pana odwiedzić, że jest jego synowcem, a Marykita leży rozciągnięta na ziemi. Może on ją zabił, ale ja nie!....

— A więc to ty, nieszczęśliwy, zamordowałeś moją najmilszą przyjaciółkę! krzyknął

profesor. Mów! czy w istocie jesteś synem mojego zacnego brata kramarza? czyś tu przybył, żeby twojego stryja wpędzić do grobu!? Mów!

Biedny chłopiec, drżąc ze strachu, nie mógł zrazu odpowiedzieć, gdyż przerażenie krępowało mu usta.

— Przebacz, kochany stryjaszku, bełkotał, przyszedłem tu prosić cię... bo ojciec chory... że Jajteles założył sklep, a ten weksel w tym roku nie może czynszu zapłacić i sklep idzie nam bardzo źle.

— Co mnie tam weksel, sklep! Dlaczego zamordowałeś niegodziwcze Marykitę?....

— Kochany stryju, ja sam nie wiem, jak ona się zamordowała.... bo ojciec zawsze płacił czynsz regularnie, a że w tym roku czynszu....

— Co czynsz! jaki czynsz?! ja nie potrzebuję waszego czynszu. Kasper, daj mu żółwia i niechaj sobie idzie do dyabła.... Ach, zabić mi taką małpę, *Callithrix Torquatax*, najpiękniejsza małpka nowego świata, moja milutka wdówka; największa ozdoba mojego zbioru! najcenniejszy owoc moich podróży! Kasper, daj mu szyldkreta i niech się natychmiast wynosi — w ten moment marsz!

Gabryel przypmniał sobie przestrogi zwierzynieckiej gosposi, więc zebrawszy szczątki odwagi, raz jeszcze przemówił do wuja, chcąc wybłagać pomoc dla ojca. Ale rozjątrzony naturalista ani go słuchać nie chciał i porwawszy zabite małpiątko na ręce, skinął na Kaspra, żeby wyprowadził Gabryelka, a sam znikł we drzwiach swego pokoju.

Kasper przyzwyczajony wykonywać ślepo rozkazy pana, pochwycił silnie chłopca za ramię i wypchnął do innego pokoju.

Byłato zapewne pracownia uczonego doktora, bo stały szafy z książkami i bióro zasypane papierami; ale synowiec nawet nie miał czasu obejrzeć się po nim, bo Kasper zdjąwszy z szafy żółwia, wcisnął go Gabryelowi do rąk, a potem gwałtownie wypchnął do sieni i drzwi za nim zatrzasnął.

Gabryel nie wiedział, co się z nim stało. Zbiegł ze schodów, stanął na ulicy i o mało w głos się nie rozpłakał.

Otóż ślicznego doznał przyjęcia od kochanego stryjaszka, którego pierwszy raz w życiu widział.

Zamiast zrobić mu przyjemność, rozdrażnił go do najwyższego stopnia; zamiast pomocy dla ojca unosił z sobą gniew zawziętego stryja i jakąś wypchaną poczwarę.

— A tom się spisał, mówił do siebie, a tom się doigrał! Papuga mię ugryzła, małpa wytłukła, stryj zwymyślał, a na ostatku ten drab za drzwi wypchnął. To troszeczkę zawiele; dobrze mi powiedziała traktyerniczka ze Zwierzyńca, że mój stryjaszek największy dziwak w całem mieście. Anim przypuszczał, że takie nieszczęście mnie spotka! Potrzebaż mi było jechać cztery mile, żeby się takiej awantury doczekać?! I jeszcze mi dał tego żółwia, a cóż ja z nim zrobię, taki ciężki, waży co najmniej z dziesięć funtów wiedeńskich — trzeba go obejrzeć.

I wszedłszy do sąsiedniej bramy, począł oglądać ze wszystkich stron szyldkreta. Nie był to żółw żywy, ale skorupa z niego w srebro okuta, otwory w miejscu, gdzie się znajdowały głowa i ogon zwierzęcia, były srebrnemi blachami sztucznie zamknięte, tak że nie można było dostrzedz, co się wewnątrz znajduje. Gabryelek usiłował zajrzeć do środka, ale w żaden sposób nie mógł tego dokazać i dziwił się niezmiernie, z jakiego powodu obdarzył go stryjaszek takim nieużytecznym podarunkiem.

— Niezawodnie, myślał sobie, zrobił to w roztargnieniu, sam nie wiedząc, co czyni.

Ha, mniejsza o to, zabiorę żółwia do domu, ażeby dowieść rodzicom, żem był u stryjaszka, a zachowam jako pamiątkę uprzejmego przyjęcia.

Gabryelek skierował się ku Zwierzyńcowi, ażeby wstąpić do znanej gospody i opowiedzieć życzliwej mu jej właścicielce o przyjęciu, jakiego doznał od stryja. Przez drogę wpadł mu znowu na myśl nieszczęśliwy weksel i smutne następstwa, jakie pociągnie za sobą nie zapłacenie długu na termin, a pogrążony w ponurem dumaniu, sam nie wiedział, kiedy zaszedł na miejsce.

Gospodyni wybiegła na ulicę na spotkanie chłopczyny, który swą grzecznością i uprzejmością zjednał sobie przychylność tej prostej, a poczciwej kobiety.

— No jakże się powiodło? zapytała, widzę że panicz coś niesie i nie wraca z próżnem rękami.

Gabryel opowiedział jej szczerze swoją przygodę, co ową niewiastę srodze oburzyło, więc rzekła z gniewem:

— Widzicie go, stary niegodziwiec! nie dość że chowa obrzydliwe poczwary, na które pobożny chrześcijanin patrzeć nie może bez zgorszenia, ale pozwala im własną swą rodzinę mordować! A chodźże panicz do izby; toż

wyglądasz podrapany, jak gdybyś gdzie z pijakami miał awanturę; trzeba się obmyć i czoło obłożyć chustką w zimnej wodzie zmaczaną. Oto mi stryjaszek, wsypałabym mu dwadzieścia pięć batów za takie szkaradne przyjęcie!....

I zaprowadziła go do izby za stancyą gospodnią, kazała słudze dać wody na miskę, pomogła Gabryelkowi obmyć się i zawiązała mu głowę wilgotną chustką.

— No chwałaż Bogu, że się na paru drapnięciach skończyło, a toż taka wściekła małpa mogła panicza zadusić, a choćby tylko i oczy wyżgać. Do jutra to wszystko zniknie i małe pozostaną ślady.

— Ależ ja muszę dziś jeszcze wracać do domu, wtrącił Gabryelek.

— A toż znowu co! żeby rodziców i siostrę przestraszyć. Tylko mój wróci z miasta, to panicza zaprowadzi do jednego studenta, co tu u nas mieszka, a on chętnie do siebie na noc przyjmie.

— No i cóż? pytała dalej, czy stryjaszek nic nie dał, nawet na drogę?

— Dał mi to, odpowiedział Gabryelek, pokazując żółwia leżącego na stole.

— Patrzajcie państwo, a to hojny.... takie szkaradzieństwo. No, co prawda, to sre-

brne okucie warte z pięć reńskich — ale do czego to się przyda? i dlaczego takie ciężkie? dodała, ważąc w ręku żółwia; pewno napchał do środka kamieni, bo stary Kasper, co u niego już trzydzieści lat służy, powiadał mojemu, że u pana jest jedna szafa cała kamieniami założona, a każdy kamień leży w osobnem pudełeczku. Ha, trzeba to będzie zabrać do domu, żeby się rodzice przekonali, jaki to cudak z tego starego dziada....

— Ach, proszę pani, jeszcze jedna rzecz, zawołał Gabryelek, przypomniawszy sobie zlecenie siostry. Zupełnie mi wyszła z głowy serweta, którą dała mi Marynia na sprzedaż. Nie wiem, co z nią począć; pani taka dobra, to mi może poradzi — jest ona w mojem zawiniątku, które pani oddałem do schowania.

Pani Walentowa wyjęła pakiet, rozwinęła go, a rozłożywszy prześliczną serwetę, zawołała z podziwieniem:

— Aj, aj! jakież to śliczne! a toćby można taką serwetę na królewski stół nakryć. A kwiaty jak żywe! jakie róże, jakie gwoździki! zdaje się, że czuję ich zapach. — Czekajno panie, tego nie można marnować, ale trzeba godnej osobie sprzedać. Moja siostrzenica służy pod Baranami w garderobie; starsza pani hra-

bina to prawdziwy anioł, taka dobroczynna i umiejąca cenić pracę. Zaraz się zabiorę i pójdę do Marysi, a ona już jakoś potrafi, może przez pannę hrabiankę trafić do starszej pani hrabiny. Teraz zaś posil się kochanku, ja niedługo powrócę.

W parę godzin potem, pani Walentowa powróciła z rozpromienioną twarzą.

— Wybornie się udało, zawołała jeszcze we drzwiach. Pani hrabina nietylko że kupiła serwetę, ale robota siostry panicza tak się jej spodobała, że zamówiła jeszcze dwie takie dla swoich wnuczek; oto pieniądze za tamtę!

Gabryelek drżącą ręką odebrał zapieczętowaną kopertę, nie śmiejąc jej otworzyć.

— Ile też tam być może? rzekł spoglądając na list.... nie mam odwagi odpieczętować....

— Nie wiem, odpowiedziała gosposia, ani też Marysia nie wie, bo jej wynieśli już taką zapieczętowaną paczkę. No, niechno panicz otworzy; co jest, to jest, ani przybędzie, ani ubędzie.

Gabryelek otworzył kopertę — stureńskowy banknot z niej wypadł.

— O mój Boże! tyle pieniędzy! zawołał chłopiec blady ze wzruszenia.

— A to doskonale! a to wybornie! a to poczciwa pani! niechże jej pau Bóg na wnukach wynagrodzi, wołała Walentowa, klaszcząc w ręce z radości.

Gabryelek nie mógł słowa przemówić ze wzruszenia.... stał nieruchomy, tylko łzy kroplami spływały mu po twarzy. Wreszcie opamiętał się i pochwyciwszy rękę pani Walentowej, zanim to spostrzegła, począł ją serdecznie całować.

— Ej, co też panicz za cudaki wyprawia! wołała, usiłując wyrwać rękę, kto zaś widział taką babę, jak ja, po rękach całować, a puść że panicz moją rękę....

— O dobra! kochana pani! mówił chłopiec, nie przestając jej ręki pocałunkami okrywać.

Gosposia nie mogła zdobyć się na odpowiedź, ale za to oboje płakali z radości.

— No no, dosyć już tego, to nie ja, ale Opatrzność Boska, opiekująca się nieszczęśliwymi, co mi dobrą myśl nastręczyła....

Nazajutrz o piątej godzinie rano, góralskim wózkiem ruszył nasz podróżny ku rodzinnemu miastu. Walentowie oboje odprowadzili go do wozu i prosili, żeby chociaż od nieznajomych pozdrowił rodziców i siostrę.

VI.
Powrót do domu.

Prześliczny wiosenny poranek świeżem tchnieniem ożywiał świat w dniu wyjazdu Gabryelka z Krakowa. Po nad łanami, kwitnącem zbożem okrytemi, unosił się wysoko skowronek, nucąc poranną modlitwę; na łąkach kwiatami ubarwionych perliły się krople rosy, a słoneczko tak wesoło świeciło, a niebo było tak cudnie błękitne, że aż się dusza wyrywała ku ziemu.

I Gabryelek rozradowany pięknością dnia i pomyślną przedażą siostrzynej pracy, weselej patrzał na świat Boży, a chociaż czasami myśl o wekslu, jak czarna chmura przesuwała się przez głowę, to gdy spojrzał na ten świat tak piękny, a potem na ten prześliczny błękit nieba, otucha wstępowała w serce jego i myślał sobie, że Ten, co taki cudowny świat stworzył, nie opuści w złej doli jego kochanych rodziców i wyrwie ich z nieszczęścia.

Kiedy niekiedy przychodził mu znowu na myśl stryjaszek, mianowicie też, gdy rzucił wzrokiem na leżącego obok żółwia. Sądził, że go przyjmie serdecznie, że się zapyta, z jakiego powodu ojciec w tym roku nie mógł komornezapłacić, a gdy się dowie o podstępie Grypsa i Jajtelesa, powie niezawodnie:

— I czegóż się martwicie, ja domu i ogrodu nie potrzebuję,sprzedajcież tę połówkę sadu Grypsowi, kiedy mu się tak zachciało, a za te pieniądze będziecie mogli wykupić weksel i złośliwy sąsiad, dopiąwszy celu, przestanie wam szkodzić.

Podobnego przyjęcia spodziewał się Gabryelek, a zamiast tego doznał upokorzenia. Stryj kazał go, jak natrętnego żebraka, wyrzucić za drzwi, a wszystko przez to, że się bronił od napaści pawiana i nie wiedząc nawet o tem, zabił Marykitę.

— Nie, nie! stryjaszek nie ma serca, kocha lepiej zwierzęta, niż rodzonego synowca, niż brata!

Nakoniec wózek zatrzymał się na rynku znanego miasteczka. Gabryel zeskoczył z wozu i zabrawszy ciężkiego żółwia pobiegł ku domostwu.

Ale na progu zawahał się. Jak wnijść? co powiedzieć ojcu? jak go przygotować do zniesienia zawodu i zmartwienia?

Gabryel podniósł oczy w górę i ujrzawszy pogodne niebo, nabrał otuchy i przeżegnawszy się wszedł śmiało do sklepu.

Na odgłos dzwonka wybiegła Marynia, a zobaczywszy brata wchodzącego niespodzianie, zapytała zdziwiona:

— Jakto Gabryelku, ty już z powrotem?

Gabryelek opowiedział jej treściwie swoje przygody smutne, a opowiadanie to zakończył weselszem wręczeniem jej stu guldenów.

— O drogi! och najmilszy braciszku! tyle pieniędzy! nie spodziewałam się ani trzeciej części — jakże jestem szczęśliwą.

— Tyś szczęśliwa, bo możesz dopomódz rodzicom.... ale ja nic nie potrafię zrobić, żeby im życie osłodzić.

Wtem z pokoju ojca dał się słyszeć głos dzwonka. Delikatne ucho chorego dosłyszało głos syna. Matka także, dowiedziawszy się o jego przyjeździe, weszła razem z dziećmi do sypialnego pokoju.

Zaledwie Gabryel wszedł do pokoju ojca gdy ten niecierpliwie zawołał:

— I cóż Gabryelku.... cóż stryj?!

Chłopiec pomięszany milczał.... to bladł, to czerwieniał się, nie wiedząc co powiedzieć wreszcie wybąkał:

— Na stryja nie mamy co liczyć, zatopiony w swoich pracach naukowych nie ma czasu o nas myśleć.... musimy sobie jakoś sami radzić. I opowiedział, co go w mieście spotkało.

Po skończonem opowiadaniu przez chwilę wszyscy milczeli, ale ojciec pomimo choroby i

znękania pierwszy otrząsnął się ze zmartwienia i rzekł:

— Nie smućcie się; taka wola Boska, żebyśmy upadli. Niech będzie Jego święte Imię pochwalone. Z domu nas brat nie wypędzi, nie upominał się o komorne, więc widać, że nam pozwala mieszkać bezpłatnie. Handel przepadł, gdy nie będziemy w stanie zapłacić wekslu, zamkną nam sklep i wszystko sprzedadzą, a starożytna firma Kawińskich zniknie na zawsze. Weźmiemy się wszyscy do pracy, a nasze poczciwe dziatki dopomogą nam do skromnego utrzymania. Jeżeli wszystko stracimy, to przecież nam najłaskawszy Bóg pozostawia największy skarb.... dobre dzieci i miłość rodzinną.... czyż potrzebujemy więcej do szczęścia?

Stary kupiec mówił to z pozornym spokojem, ale gdy wspominał o zamknięciu sklepu i zdjęciu firmy, głos jego mimo wszelkiego wysilenia drżał, a żona i dzieci z bladych rysów i zmarszczonych brwi mogły wyczytać, co mu się w głębi duszy działo.

Powoli uspokoiła się strapiona rodzina; spokojność ojca, której nie utracił mimo przebytej ciężkiej choroby i ciężkiego zmartwienia, wszystkim dodała odwagi. Zaczęli rozmawiać

weselej, a nawet żartować z walki Gabryelka z papugami i małpami, której ślady nosił na twarzy i ręce.

Kawiński kazał sobie podać żółwia i oglądał go na wszystkie strony, pragnąc odgadnąć jego przeznaczenie.

— Że brat mój rozgniewał się na Gabryelka, wcale się nie dziwię — mówił — bo on jest tak przywiązany do swoich zbiorów, że dla nich o wszystkiem zapomina; kiedy byłem u niego ostatni raz, tak się zajął osobliwszym jakimś wężem, którego mu z Ameryki przysłano, że mi ciągle na opak odpowiadał; ale że mu zrobił taki dziwaczny prezent, to jest dla mnie niepojętą zagadką. W tym szyldkrecie niezawodnie coś się ukrywa, może to jaki bożek murzyński. Czy ci stryj nie dał żadnego objaśnienia?

— Nie tatku, odpowiedział Gabryel, kazał tylko Kasprowi dać mi żółwia i za drzwi wypchnąć.

Ojciec pociskał skorupę i blaszki srebrne, szukając jakiejś ukrytej sprężyny, ale napróżno; znudzony nareszcie daremnem dochodzeniem, oddał żonie żółwia i rzekł:

— Schowaj ten dziwny podarunek, chociaż się na nic nie przyda, zawsze to jednak pamiątka po bracie, którą szanować należy!...

Pani Kawińska wzięła żółwia i postawiła go w bawialnym pokoju na szafie.

VII.

Podróż do Szczawnicy.

Zdrowie kupca z każdym dniem polepszało się, ale za to w sklepie szło coraz gorzej. Mieszczanie, którzy na wieść o chorobie Kawińskiego, przez dawną przyjaźń poczęli brać towary, znowu go porzucili, dowiedziawszy się, że mu lepiej i powrócili do Jajtelesa. Targ dzienny zaledwie na opędzenie potrzeb najpierwszych życia wystarczał.

Chociaż zdrowie wracało, ale siły nie przybywały Kawińskiemu. Całe dnie spędzał w fotelu mizerny i blady; znać myśl o blizkim terminie zapłaty nie dawała mu spokoju. Lekarz zalecał mu wyjazd do Szczawnicy, twierdząc że tylko kąpiele i używanie wód może go zupełnie uzdrowić. Uśmiechnął się smutno na tę radę Kawiński i odpowiedział, że wody szczawnickie są wybornem lekarstwem dla bogatych, ale jego nie stać na tak kosztowną kuracyę. Lekarz, wzruszywszy ramionami, oświadczył, że innego środka na chorobę tę nie zna, pożegnał Kawińskiego i wyszedł.

W sieni czekała nań Marynia i zatrzymawszy, zapytała nieśmiało:

— Proszę pana, czy tatko długo ma bawić w Szczawnicy i czy to podróż kosztowna?

— Ojciec sam jechać nie może, musi kogoś wziąć z sobą, coby go pielęgnował; trzeba, aby tam zabawił sześć tygodni, a to przy najskromniejszem życiu, najmniej półtorasta guldenów kosztować będzie.

— Dziękuję za objaśnienie panu doktorowi, a kiedy ma wyjechać?

— Nie prędzej, jak za trzy tygodnie, bo tam w górach jeszcze zanadto chłodno.

Marynia odetchnęła, pożegnała doktora i wbiegłszy do sklepu, naradzała się długo z Gabryelkiem.

Od tego dnia Marynia przesiadywała ciągle w małym pokoiku na górze. Jak tylko znalazła chwilkę wolną od zajęć domowych, biegła tam, i nie schodziła aż na wieczerzę. Pani Kawińska dopytywała się jej, co tam robi? ale nie mogła odebrać zaspakajającej odpowiedzi. Nereszcie jednego dnia poszła na górę do jej pokoiku i zastawszy drzwi zamknięte, poczęła pukać.

Marynia otworzyła; twarzyczka jej była blada, a oczy zaczerwienione, matka miała o-

chotę wyburczyć ją za to przesiadywanie samotne, ale ujrzawszy mizerną twarz dziewczęcia, zmiękła i rzekła łagodnie:

— Co też ty wyprawiasz, Maryniu, siedzisz jak pustelnik na górze.... a możeś ty słaba?

— Droga mateczko, nie pytaj się, jeszcze tylko tydzień cierpliwośći, a potem opowiem ci wszystko.

Matka poprzestała na tej odpowiedzi i zeszła na dół do pokoju męża.

Kawiński siedział przy stoliku i obliczał należytości, jakie miał u ludzi.

— Czy wiesz Petrysiu, przemówił, widząc wchodzącą żonę,że mamy u różnych osób 353 zł i 47 krajcarów.

— Ach, żeby oddali chociaż połowę, zarazbym cię wysłała do Szczawnicy.

— Ani mi wspominaj o tem, rzekł kupiec, to nie są moje pieniądze, ale mojego wierzyciela, dopóki on nie jest zaspokojony, dopóty nie wolno mi ruszyć ani jednego grosza, a nawet każdy grajcar wydany na życie, robi mi niewymowną przykrość, bo mi się zdaje, że go okradam. Ja też mogę myśleć o kąpielach!. .. To dla wielkich panów, ale nie dla mnie.

— A gdybyśmy trochę sprzętów sprzedali, np. wózek, uprzęż.

— I to nie nasze.... wolę umrzeć, aniżeli ratować się cudzą krzywdą; proszę cię, daj pokój, nie mówmy o tem, nie kłopocz mi napróżno głowy.

Kawińska zamilkła, bojąc się go zniecierpliwić, ale mimo to nie przestała myśleć o wyprawieniu męża do Szczawnicy. Poszła do swego pokoju i poczęła wydobywać z komody drobne kosztowności do ślubnej wyprawy należące, ale para kolczyków i dwa pierścionki niewarte były i 40 guldenów. Więc z westchnieniem wyszła do ogrodu, ażeby w samotności pomodlić się i popłakać.

W tydzień potem Marynia z rozpromienioną twarzą wbiegła do kuchni, gdzie się matka koło obiadu krzątała, a pokazując jej duży list z pięcioma pieczęciami, zawołała:

— Mameczko! zgadnij, co to jest?

— Widzę, że list z pieniędzmi, ale od kogo? — nie wiem. Ach, to może stryj Floryan, ochłonąwszy z gniewu, przebacza Gabryelkowi i przysyła nam pieniądze.

— O moja mamo, to się na stryju nie pokaże, on lepiej kocha swoje małpki, aniżeli was, mnie i Gabryelka!.... Zaraz mamie powiem. Niechno mama siada i jakby ksiądz proboszcz wysłucha spowiedzi swą córkę, która

bardzo przewiniła, kryjąc się przed taką dobrą matką ze swoimi postępkami.

— No, no mów, co to takiego?

Marynia zaczęła opowiadać matce od początku całą historyę o pierwszej serwecie. Jak za uskładane pieniądze nakupiła materyałów, jak ją wyszyła potajemnie i jak ją Gabryelek, będąc w Krakowie, za pomocą poczciwej pani Walentowej korzystnie sprzedał. Potem opowiedziała, że otrzymane sto reńskich miała oddać ojcu, ale dowiedziawszy się od doktora, że ojca trzeba wyprawić do kąpiel i że na to półtorasta reńskich potrzeba, umyśliła chować pieniądze, dopóki więcej nie uzbiera i przesiadując w pokoiku na górze, wyszyła mniejszą serwetę, która posłana na zamówienie hrabiny na ręce Walentowej do Krakowa, przyniosła jej 60 reńskich.

— Oto jest, droga mamo, 160 guldenów, to nawet więcej niż tatko potrzebuje na wyjazd. Zanieś to tatce i pociesz go.

Wzruszona niezmiernie pani Kawińska, pochwyciła córkę w objęcia, uścisnęła, ucałowała i rzekła:

— Pójdź! pójdź, droga Maryniu i sama złóż ojcu owoc twego przywiązania i pracy!

Możecie sobie wystawić, kochani czytelnicy zadziwienie i rozrzewnienie Kawińskiego, gdy się dowiedział o postępku Maryni.

I wszystko czworo ściskali się ze łzami, a sercą ich biły tak radośnie, tak żywo. Miłość rodzinna i ufność w Bogu zastąpiła zwątpienie i smutek.

Na domiar tego szczęścia wszedł doktór i oświadczył im, że jego szkolny kolega, który niedawno kupił część Szczawnicy, Miodziusiem zwaną, za jego wstawieniem się ofiarował panu Kawińskiemu bezpłatne mieszkanie i kąpiele.

Kupiec podziękował mu serdecznie i nie omieszkał opowiedzieć, co dla niego zrobiła Marynia.

— To pięknie, bardzo pięknie, mówił doktór wysłuchawszy opowieści kupca. Dzieciom, które czczą i kochają rodziców, pan Bóg jeszcze za życia tu na ziemi miłość tę wynagradza. No, ale teraz, mój panie Kawiński, trzeba się wybierać w drogę, czas prześliczny, szkoda każdego dnia.

VIII.

Szczawnica.

Stary Kawiński był mocno osłabionym, wyjeżdżając z domu razem z Marynią, która

miała go pielęgnować w Szczawnicy. Odbywali podróż bardzo powoli i dopiero trzeciego dnia wózek wtoczył się na wielki most kratowy na Dunajcu, stanowiący wstęp do Szczawnicy.

Poranek był prześliczny, ostre, ale balsamiczną wonią tchnące powietrze, ożywczym swoim wpływem tak podziałało na chorego, że już czuł się znacznie lepiej, jak przy wyjeździe z domu. Marynia zachwycona pięknością okolicy, rumieńcem na twarzy ojca tak dawno niewidzianym, szczebiotała wesoło. W połowie drogi do zakładu dostrzegła wśród szumiącego Dunajca, stojącego na skale górala, który zdjętym kapeluszem witał wjeżdżających.

— Patrz tatku, zawołała, pokazując go, jaki to góral grzeczny, kłania się nam zdaleka.

Góral powożący ich począł się śmiać.

— Czego się śmiejesz, Marcinku? zapytał kupiec.

— A bo panienka myśli, że to żywy góral, a to drewniany, co go pan Salaj dał zrobić i umalować w Krościenku, żeby gościom zrobić uciechę.

Marynia zaczęła się śmiać sama z siebie, że uległa złudzeniu, a Marcinek począł opowiadać im różne historye o Szczawnicy, którą

znał doskonale, bo corocznie woził tu gości z Krakowa.

Wreszcie zajechali na Miodziuś.

— Kajże staniewa? zapytał góral.

— Zajedziemy do tego pana, co trzyma Miodziuś, odpowiedziała Marynia.

— O znam go dobrze, uciesny pan, do kuzdego umie zagadać wedle jego woli, a wymyśla przeróżne zabawy dla gości. Łońskiego roku zrobił strzelnicę, co w niej panowie od rana do nocy z fuzyów i pistoletów do celu strzelali. A wo to, tutok.... prrr! zawołał, wstrzymując konie. Na odgłos zajeżdżającego wózka gospodarz wybiegł przed dom zwany Gospodą Warszawską, Marynia oddała mu list od doktora.

Właściciel rozłamał pieczątkę, rzucił okiem na podpis i rzekł uprzejmie:

— Od kilku dni czekam państwa, pokoik jest gotów na przyjęcie.

Rzeczywiście doktór przyjął ojca i córkę jak najuprzejmiej — i pomógł im do wygodnego ulokowania się w pięknym domku.

Zostawmy ojca i córkę zachwyconych uprzejmem przyjęciem, a opowiedzmy o innym gościu, który przed dwoma dniami do Szcza-

wnicy przybył i zajął ładne mieszkanie w sąsiednim domku, zwanym Leonówką.

Gościem tym nie był kto inny, jak uczony profesor Floryan Kawiński.

Gdy Kasper, wypchnąwszy Gabryelka, wrócił do pokoju zoologa, ten leżał na ziemi rozciągnięty, tuląc do piersi zwłoki Marykity.

Przeląkł się stary sługa, sądząc, że i pan jego równie, jak małpa, nie żyje. Odrzucił małpę na bok, zaniósł pana na łóżko, a nie mogąc się pana dotrzeźwić, pobiegł na drugie piętro po doktora.

Zaledwie dotrzeźwiono profesora, który przez następne dwa tygodnie ciężko chorował.

Po wyzdrowieniu zalecił mu lekarz podróż do Szczawnicy. Zrazu nie dał sobie o tem mówić, bo mu się wydawało marnowaniem czasu jeździć do kąpieli, lecz lekarz wziął się na sposób i powiedział mu, że Szczawnica obfituje w prześliczne i rozliczne gatunki motyli i że to wstyd, aby taki uczony zoolog, zwiedziwszy tyle zamorskich krajów, nie znał okolic ojczystego i nie badał go pod względem naukowym!......

— Masz pan słuszność, odrzekł uczony, powinienem był tam dawno pojechać i przekonać się, czy to prawda, co inni pisali o faunie karpackiej.

Zaczęto robić przygotowania do drogi, ale pan Kawiński dopóty nie wyruszył z domu, dopóki nie zobaczył pod szkłem wypchanej starannie swojej Marykity. Widok jej przywiódł mu na pamięć Gabryelka, więc począł wygadywać na niego.

— Szkaradny chłopak! Gdyby go tu licho nie przyniosło, biedna Marykita byłaby żyła, a ja nie potrzebowałbym włóczyć się po kąpielach.

Kasper starał się usprawieliwić chłopca, ale uczony mu nie dał dokończyć.

— Cicho! bo jak mi raz jeszcze wspomnisz o bracie, który na moje nieszczęście ożenił się i takiego niegodziwego syna wychował, to cię wypędzę stary trutniu!....

W parę dni potem karetą pocztową wyjechał pan Floryan z Kasprem do Szczawnicy; aby zaś uniknąć widoku miasteczka, gdzie mieszkał morderca Marykity, skierował drogę na Limanową i Sącz. Zajechali do Leonówki.

Zrazu profesor był kontent, lecz ponieważ siły nie pozwalały mu wdzierać się na góry i chodzić po lasach dla łapania owadów, a nie miał tu ani książek, ani swoich małp i papug, więc wciąż był w najgorszym humorze; zdro-

wie nie polepszało się i po całych dniach gderał na Kaspra.

Kasper wziął się na sposób. Ile razy pan Floryan zaczął zrzędzić, umykał z domu i pozostawiał go w samotności. Profesor przyzwyczajony do niego od tylu lat, wychodził go szukać, znajdował, przepraszał i przyrzekał, że już więcej gderać nie będzie.

Jednego dnia siedział z rana przed Leonówką, gdy przed sąsiedni domek, zwany „Szwajcarką", zajechał wózek góralski. Widział, jak gospodarz wysadzał ojca i córkę. Byli to właśnie pan Kawiński i Marynia.

Pan Floryan przypatrując się troskliwej dziewczynce, która ojca pod rękę prowadziła do pokoju, mruczał do siebie:

— Hm, gdybym to ja miał taką opiekunkę, tobym prędko wyzdrowiał, ale z tym starym niedołęgą zamęczę się w tej Szczawnicy. Nieraz mię godzinami zostawia samego.... miłe dziecko.... bardzo miłe.... może milsze nawet od mego pawiana.... ba, już to małpa nie zastąpi dziecka.... nie, nie!

Na drugi dzień uczony siedział w brzozowej alei na ławce, gdy ujrzał wychodzącego z zakrętu wczorajszego gościa, którego prowadziła Marynia. Z zajęciem spoglądał na oboje i wzdychał.

Od tego czasu szukał sposobności, aby się jak najbliżej pod Szwajcarkę podsuwać i przypatrywać dziewczęciu, do którego uczuł jakiś pociąg, jakąś przychylność.

Uważał on,że Marynia wstawała raniutko, kiedy jeszcze ojciec spał. Najprzód ubierała się, potem oglądała troskliwie bieliznę i suknie ojca, ocierała starannie z każdego pyłku, z każdej plamki; następnie przygotowywała mleko prosto od krowy, jakie lekarz staruszkowi pić kazał; budziła go, podawała mu ten napój. Gdy kupiec ubrał się i wyszedł ku kaplicy, ażeby ranny odmówić pacierz— dziewczę tymczasem uprzątnęło pokoik, brało kapelusik i parasolkę i szło naprzeciw ojca, ażeby go poprowadzić na wody; potem on przechadzał się po parku i szedł do kąpieli.

Marynia tymczasem siadała w altanie przy domu i haftowała zamówioną serwetę.

Około jedenastej zabierała się do sporządzenia obiadu, ażeby ojciec powróciwszy z kąpieli, znalazł gotowy befsztyk, jaki mu jeść codzień polecono.

Po obiedzie Kawiński kładł się i spał godzinkę, a Marynia siedziała w altance i pracowała usilnie.

Pan Floryan z zamiłowaniem śledził czynność Maryni; widział, że to ludzie nie zamożni, bardzo skromne życie wiodący, ubogo, ale zawsze czysto ubrani — a jednakże chociaż sam był bogatym i nie zbywało mu na niczem, zazdrościł im tej miłości rodzinnej, a nawet tego ubóstwa.

Tak upłynęło cztery tygodnie.

Jednego dnia pan Floryan obudził się wcześnie, a że przykrzyło mu się nieco, wstał z łóżka i poszedł do okna.

Rozmowa półgłosem wiedziona zwróciła jego uwagę.

Obejrzał się i ujrzał Kaspra, rozmawiającego z haftującą Marynią, chociaż jeszcze szóstej nie było. Kasper był w wesołem usposobieniu, zacierał ręce, śmiał się i kiedy niekiedy spoglądał z boku na mieszkanie swojego pana; zaraz dostrzegł go w oknie i powiedziawszy coś Maryni, zniknął.

— Kasper! głupi Kasper! zawołał pan Floryan, usłyszawszy sługę wchodzącego do pokoju.

— A co, panie? zagadnął.

— A co, panie! a co, panie! — to panie, że się włóczysz, zamiast śniadanie robić.

— Toć przecie pan nigdy nie wstaje przed ósmą, pocóż mam nastawiać wcześniej samowar?

— Ale dziś wstałem o szóstej, więc powinien być nastawiony! krzyknął pan Floryan, co ty tam masz do rozprawiania z tą dziewczyną z Szwajcarki?

— Ha! cóż, panienka dobra, pracowita, grzeczna, to też mi przyjemniej z nią pogadać, aniżeli z panem gderającym i wydziwiającym po całych dniach.

— To ty ich znasz? zapytał łagodnie, udając, że nie słyszy wymówek Kaspra.

— Znam! a czemuż, proszę pana, nie miałbym ich znać? odpowiedział służący.

— Cóż to za jedni?

— Ho! co za jedni? uczciwi ludzie i kwita; biedni, ale kochający się lepiej, jak pan ze swoją rodziną. To jest ojciec, a ta panienka to jego córka!

— Mówiłem ci, żebyś mi o mojej godnej rodzinie nie wspominał.... cóż wiesz o tych ludziach?

— Co wiem, to wiem, ale panu nic nie powiem, bobyś pan mię skrzyczał i basta.

— Słuchaj no, ty! czy ty sobie żartujesz ze mnie? krzyknął porywczo pan Floryan, a nie, to pójdę do zakładu i dowiem się natychmiast o nich!

— Ha! kiedy się panu koniecznie zachciało wiedzieć, to powiem... Ten pan.... mówił powolnie, zatrzymując się za każdem słowem — ten pan nazywa się Gabryel Kawiński, a ta panienka, jego córka Marynia Kawińska.

Profesor podskoczył na krześle, jak gdyby go osa ukąsiła i krzyknął:

— To nie prawda! kłamiesz niegodziwcze, to być nie może....

— Ej, proszę pana, zawołał urażony Kasper, trzydzieści lat służę u pana, a czy mię pan kiedy na kłamstwie złapał? Skoro mówię, że tak, to tak!

— A możeś im wypaplał, kto jestem? zapytał niecierpliwie.

— Cóżbym miał gadać, kiedy mię nie pytano.... pan sobie myśli, że panna Marynia jest taka ciekawa, jak pan; ona nie ma wcale babskiej natury.

— Idź natychmiast wypowiedzieć mieszkanie, a najmiesz inne w głównym zakładzie pod Atyllą, lub gdzie ci się podoba, byle tylko jak najdalej ztąd; dziś jeszcze się wyniosę.

— Dobrze, panie, odpowiedział Kasper, jak tylko nastawię samowar, pójdę do zakładu.

— A dlaczego nie zaraz? zapytał pan profesor.

— Dlatego że o tym czasie kancelarya jeszcze zamknięta — odpowiedział i wyszedł.

Myliłby się jednak ten, którymby mniemał, że Kasper pójdzie wynajmować mieszkanie.

Zaraz na drugi dzień po przyjeździe Gabryela dowiedział się, że to brat jego pana; widział też, że pan Floryan z zajęciem i przychylnością przygląda się Maryni. Zabrał więc z nią znajomość i rozmawiając kilkakrotnie, poznał poczciwe serduszko dziewczęcia.

Stary i poczciwy sługa, o jakich dziś tak trudno, postanowił sobie zbliżyć dwóch braci, bo pragnął, aby pan jego w starości nie został osamotnionym.

Ile więc razy Marynia pracowała w altance, a obaj bracia spali, albo ich w domu nie było, zbliżał się ku niej i zawiązywał rozmowę. Marynia, nie mająca prócz ojca nikogo znajomego w Szczawnicy, poznawszy dobrego Kaspra, chętnie z nim rozmawiała.

Plan Kaspra zbliżenia obu braci o tyle się powiódł, że profesor już uczuł pewną przychylność do niepoznanego Gabryela i Maryni.

Kasper postanowił zwracać uwagę pana na samotnych gości, mówić o nich dobrze i zachęcić, aby się bliżej poznali i chodzili na przechadzki razem, później z rozmowy mogli się

poznać, kto są, a niepodobna, aby Floryan dowiedziawszy się, że mówi z bratem, nie zapomniał o urazie, jaką miał do Gabryelka.

Dzisiejsza atoli rozmowa z panem zupełnie popsuła mu szyki.

Musiał powiedzieć, kto jest pan Gabryel, a starszy Kawiński, przypomniawszy sobie o śmierci Marykity, zamiast zbliżyć się do brata, kazał szukać innego mieszkania.

— Aha, zaraz! będę ci szukał innego mieszkania, mruczał Kasper wyszedłszy do przedpokoju — jak się spyta, to mu powiem, że ani jednej wolnej nie ma stancyi. Ot, dziwak stary, myślałem, że ma lepsze serce.

Tym razem jednak Kasper źle sądził o swoim panu, bo ten ochłonąwszy, poszedł ku oknu i w milczeniu przypatrywał się synowicy.

Jej widok złagodził drażliwy humor Floryana. Cóż to dobre i kochane dziewczę winno, że Gabryelek zabił małpę? Na dobitek w tej chwili i brat zeszedł do ogrodu.

Jego twarz mizerna i blada, krok powolny i widoczne osłabienie wzruszyły serce Floryana.

Przypomniał sobie, jak Gabryel doskonale wyglądał, gdy go przed ośmnastu laty ostatni raz odwiedził w Krakowie. Przypomniał

sobie, że z jego łaski mógł się poświęcić nauce i zasłynął pomiędzy europejskimi uczonymi......

Z kolei przyszła mu na myśl wizyta Gabryelka i obejście się z nim tak nieludzkie. Gdy sobie teraz z zimną krwią rozważył, przekonał się że stary Kasper miał słuszność, że Gabryelek nie chcący i przypadkiem tylko Marykitę zabił; przecież biedny chłopiec musiał się bronić przeciwko rozżartym małpom, które go zewsząd opadły.....

— Jestem stary głupiec, pomrukiwał, i zamiast synowca mego, którego z własnej winy nie znałem, za drzwi wypychać, powinienem był sobie kazać wsypać z dziesięć batów za moją porywczość! Żeby nie to, mógłbym pójść do mego brata, powiedzieć mu, kto jestem i żylibyśmy sobie tutaj, jak w raju, pod opieką tej dobrej i pracowitej dziewczynki; ale teraz nie mogę tego zrobić, bo wyrzuciłby mię za drzwi tak, jak ja jego syna.... Co tu robić.... co tu robić?....

W tej chwili wszedł Kasper z samowarem i przyrządem do herbaty.

— Proszę pana jest herbata, niechże pan siada i pije, bo muszę posprzątać i iść za tem mieszkaniem do zakładu.

— Nie potrzeba mieszkania! zostanę tu-taj!.... rzekł pan Floryan....

A gdy Kasper zdziwiony tą zmianą zdania swojego pana, spoglądał z boku na niego, profesor dodał na swe usprawiedliwienie:

— Tam na górze w zakładzie ciągłe zabawy, muzyki, bale.... ja tego nie lubię.... Potrzebuję spokojności.

— Ha, to i lepiej, nie będziem się przewłóczyć.... Ale kiedy tu zostaniemy, to mógłby też pan porzucić te swoje dziwactwo, dać się poznać bratu i byłoby jakoś lepiej i weselej dla nas wszystkich.

— Ot pleciesz, jak na mękach, gdyby się dowiedzieli, że to ja jestem, wynieśliby się niezawodnie na drugi koniec Szczawnicy.

Tym razem profesor sądził błędnie.

Kasper w rozmowach z Marynią nie powiedział jej wprawdzie, że pan Floryan jest jej stryjem, ale umiał tak zręcznie nakierować przedmiot pogadanki, że dziewczę samo zaczęło opowiadać o stryju, a z tych zwierzeń dowiedział się, że uczonego brata Kawińscy niezmiernie poważali, że nie mieli do niego najmniejszej urazy, a winę złego przyjęcia przypisywali Gabryelkowi, który swoją niezręcznością stryja rozjątrzył.

Kasper byłby dawno opowiedział to wszystko swemu panu, ale znając jego dziki charakter, chciał, aby wprzódy przypatrzył się zdaleka rodzinie, nabrał do niej przychylności i sam zapragnął zapoznać się bliżej z tak bliskimi, a tak dawno zapomnianymi krewnymi.

Więc na ostatnie słowa profesora, Kasper odpowiedział:

— Plotę, albo i nie plotę — ale to wiem dobrze, że pan Gabryel i panna Marynia sto razy lepsze serca mają od pana i kochają go serdecznie.

— Aha, kochają.... zapewne za to, żem kazał synowca za drzwi wyrzucić.

— No, że już się pan spisał, jak Grabski w tańcu, to tego nikt nie zaprzeczy. Ale trzeba to raz naprawić i basta.

— Ciekawy jestem w jaki sposób? — zagadnął niby obojętnie pan Floryan.

— Niech się pan z niemi zapozna pod cudzem nazwiskiem.

— Ot koncept! Chociaż nie widzieliśmy się tyle lat, jestem pewny, że mię Gabryel pozna, a jak pozna, to każe wyrzucić za drzwi.

— Ej, gdzie ma poznać! Toż pan przez włóczenie się po tych zamorskich krajach zupełnie się zmienił. Wysechł pan, jak szym-

pans, nos wyciągnął się, jak u mrówkojada, broda wysunęła się naprzód, jak u hippopotama, zgarbił się pan, jak orangutang — wyłysiał pan, jak....

— A będziesz ty milczał, nieznośny gadulo! — krzyknął pan Floryan rozgniewany temi zoologicznemi porównaniami.... widzisz go! możeś piękniejszy?

— Jeżelim brzydki, to pan temu wienien; nie trzeba było mnie włóczyć do Gujany, gdzie się ludzie starzeją z gorąca, ani do Islandyi, gdzie brzydną od zimna.

— Dość tego, Kasprze, bo cię wypędzę!

— No, no, niech się pan nie gniewa, ale co do poznania, to pan może włożyć na oczy zielony daszek, zsunąć nizko i basta. Jak się pan poznajomi, zaprzyjaźni, zaprosi ich do Czerwonego klasztoru na spacer, to się państwo polubicie i będzie łatwo o zgodę.

— Plan nie najgorszy, jak na takiego niedołęgę — mówił pan Floryan, jeżeli mnie polubią, dam im się poznać, przeproszę za moje nieludzkie obejście się z synowcem i wszystko będzie dobrze. A więc co prędzej przynoś suknie i ubierz mię, bo chciałbym jak najprędzej pójść i pogawędzić z tą małą szczebiotką, za-

nim się brat obudzi.... ale, ale.... a jak małej na imię?

— Marynia, proszę pana — prawda, że to piękne imię, zagadnął Kasper.

— Prześliczne.... prześliczne.... Marynia.... no prędzej.... zwijaj się, nosorożcu!

Kasper wyszedł czyścić suknie, poszedł do okna i począł się przypatrywać haftującej dziewczynce z daleko większem jeszcze zajęciem.

Wkrótce potem Kasper wystroił swego pana w nowy surdut, założył mu pod czapkę nowy daszek spadający na oczy, podał laskę i wyprowadzając ku drzwiom napominał:

— A niechże pan grzecznie i łagodnie przemawia do panny Maryni — niech pan niby przypadkiem ją zaczepi, a potem oświadczy, że chciałby pozajomić się z jej ojcem, że on nie młody i pan też stary, a obaj panowie spokojni, to możecie się z sobą zgadzać, razem chodzić na przechadzki i rozweselać się wzajemnie.

— Już ty mnie nie ucz, oburknął się profesor, przecież wiem, co mam mówić.

Pan Floryan wzruszył z politowaniem ramionami i poszedł ku altance, w której Marynia pracowała.

— Przepraszam panienkę, rzekł stojąc przy wejściu do altanki.... chciałbym trochę odpocząć.

Na widok pana Floryana dziewczę zerwało się z miejsca, powitało go z uszanowaniem, czem stary profesor bardzo się zadowolnił.

— Niechaj pan spocznie, bardzo proszę — mówiła Marynia, ścierając ławeczkę.

— Jesteśmy bliskimi sąsiadami z ojcem panienki, a nie znamy się.... Chodzimy obadwaj na wody.... Jakoś byłoby nam razem weselej.

— O, mój ojciec byłby bardzo szczęśliwy z poznajomienia się z panem i ja także.... stary służący pana tyle mi dobrego nagadał o panu.

— Hm.... to poczciwy niedołęga.... służy mi od lat trzydziestu wiernie, jest przywiązany, ale przytem tak ograniczony, że nie potrafi rozróżnić *Oriolus Aureus* od *Oriolus Auratus*.... A co to panienka tak usilnie pracuje?.... co dzień podziwiam z okna.

Marynia pokazała mu robotę, którą pan Floryan począł wielce wychwalać, a tak wywiązała się rozmowa i po godzinie byli z sobą, jak starzy znajomi.

Profesor w różowym humorze wrócił do domu, a zasiadłszy do herbaty, zajadając z nie-

zwykłym apetytem, mówił do Kaspra:

— Dobrze mówiłeś, stary pawianie, że to malutkie dziecko. Aj, gdybym ja miał taką córkę!....

— Alboż to między córką a synowicą taka wielka różnica? odpowiedział Kasper.

— To prawda, ale jak do nich przystąpić, kiedy gniewają się na mnie. Wszystkiemu winna ta przeklęta Marykita. Czy wiesz, Kasprze, że już jej teraz nie żałuję.

— Cud! jak pana kocham, cud! teraz widzę, że się panowie pogodzicie, bo kiedy już pan to szkaradne małpsko znienawidził, będzie wszystko dobrze.....

Po śniadaniu pan Floryan poszedł do zakładu, gdzie, jak wiadomo, znajdują się sklepy. Wszedł do najokazalszego, przeglądał różne rzeczy, aż nakoniec wybrał piękny damski necesser z przyrządami do robót, zapłacił go i schowawszy do kieszeni, powrócił do domu.

Po południu nie odważył się pójść do altanki, lękając zawczesnego spotkania z bratem, ale nazajutrz, jak tylko Marynia zasiadła do roboty, zbiegł żywo ze schodów i poszedł ku niej, już zdaleka wołając:

— Dzień dobry pannie Maryni.... już to przy robocie?

— Teraz najprzyjemniejszy czas do pracy.... Dzień dobry panu dobrodziejowi.

— O, zapewne.... zapewne.... *Aurora musis amica*.... ale panienka, mówił jąkając się pan Floryan, nie ma odpowiednich do takiej.... roboty pięknej.... instrumentów.... bo to tak zwyczajnym naparstkiem.... i niby, to jest.... nożyczkami.... trudno....

— Nie rozumiem pana, rzekła Marynia, wpatrując się z zadziwieniem w pana Floryana.

— A bo to trzeba innych przyborów.... pięknych..... odpowiednich dla takiej pracownicy.... To mówiąc położył na krosnach necesser, w którym znajdowały się srebrny naparstek, igielnik, nożyczki z srebrnem ujęciem i tym podobne narzędzia kobiece.

— Przepraszam pana, rzekła Marynia, rumieniąc się, ale od osób nieznajomych prezentów nie przyjmuję.... i pan daruje, ale muszę oddalić się.

I odeszła, zostawiwszy pana Floryana zmięszanego swoją niezręcznością.

Porwał kapelusz i rozgniewany na siebie, na necesser i na cały świat wszedł do swego pokoju.

— No, jakże tam panu poszło? — zagadnął Kasper.

— Ruszaj za drzwi, krokodylu! krzyknął profesor, ślicznie mi poradziłeś, żeby starać się ich ująć. Kupiłem prezent, ofiarowałem, a ona zamiast przyjąć rozgniewała się i poszła do domu.

— Oj, panie, panie! zawołał Kasper, kiwając głową — a któżto widział takie niedorzeczności robić, nieznajomej osobie robić prezenta!

— Jakto nieznajomej? przecież to moja synowica.

— A czy to pan ma na czole napisane, że jesteś jej stryjem?

— I to prawda.... ale dla czegoż się tak obraziła za moje dobre chęci?

— Widzisz pan, ubodzy ludzie, a honorowi to się bardzo łatwo obrażają, bo jak im kto coś kosztownego daje.... to im się wydaje, że to rodzaj jałmużny.

— Ubodzy! oszalałeś? przecież mój brat jest zamożnym kupcem, rzekł pan Floryan.

— Aha zamożnym..... lada dzień zbankrutuje....

— Kto ci to powiedział! mów!! krzyknął pan Floryan.

— Słyszałem od jednego furmana, co przyjechał z tego miasta, gdzie pan Gabryel mieszka . . . .

Pan Floryan bardzo się zmartwił tą wieścią, ale postanowił to jakoś naprawić.

Jak tylko Gabryel poszedł do kąpieli, udał się do Maryni i począł się tłumaczyć.

Dziewczę go nawzajem przepraszało za odmowę może za bardzo szorstką.

— Nie dziw się pan, biedni bywają zazwyczaj drażliwi.

To mówiąc, podniosła oczy na pana Floryana, który ujrzał ze wzruszeniem, że są zaczerwienione od płaczu.

— Co ci to, moje dziecię? — pytał.

Tyle było serdecznego współczucia w głosie profesora, że Marynia nie mogła się wstrzymać, ażeby nie zwierzyć mu się zupełnie. Opowiedziała więc wszystko, kończąc w te słowa:

— Dziś ojciec otrzymał list od swego prześladowcy Grypsa, który mu donosi, że kupił weksel jego na 1980 guldenów i że jeżeli nie uiści się na termin, zlicytuje nas ze wszystkiem i na ulicę wyrzuci. Termin za trzy tygodnie — sklep zamkną, firmę zniesławią, a ojciec umrze ze zmartwienia. I głośnym wybuchła płaczem.

Pan Floryan już chciał krzyknąć „Nie płacz Maryniu — ja jestem twój stryj, zapłacę weksel i ocalę was; ale nagle przyszło mu do

głowy, że ma wyborną sposobność dowiedzieć się co też o nim myślą — więc rzekł po chwilce.

— A czemuż nie udacie się o pomoc do stryja w Krakowie? to podobno bogaty człowiek?

— Do stryja? O mój dobry panie, nasz stryj nie chce o nas wiedzieć. Czy pan uwierzysz że nigdy nas nie odwiedził, choć mieszka o cztery mile? że nie zna ani mnie, ani brata mego, ani nawet naszej mamy?! On zakochany w małpach, papugach, wężach, robakach...... Musi to być człowiek nie ludzki — okrutnik bez serca — niechże się cieszy ze swemi zwierzętami, o brata rodzonego mniejsza.

Profesor na te wyrzuty zasłużone nie śmiał przemówić słowa. Ukłonił się Maryni — wziął kapelusz i wysunął cichaczem.

— Kasper! nieproszony doradco! pakuj w ten moment rzeczy! jutro jak świt wyjeżdżamy — krzyknął wchodząc do pokoju.

— Jest! — znowu coś nowego, odezwał się flegmatycznie Kasper.... jakiś bąk pana ugryzł.

— Bąk.... bąk.... mówił profesor chodząc szybko po pokoju... wiedziałem że tak będzie... dobrze ci tak stary niedołęgo...., dobrze ci robaku morski.

— A cóż ja panu winien? zapytał Kasper biorąc ten tytuł do siebie.

— Eh głupi Kasprze, przecież ja o sobie mówię....

I opowiedział rozmowę, jaką miał z Marynią.

— Hm.... nie najlepiej to, zauważył Kasper, ale znów nie najgorzej.

— Najgorzej! najgorzej! powtarzał pan Floryan. Jak tylko wrócimy do Krakowa, natychmiast jadę do Hamburga, a ztamtąd do Ameryki. Jeszcze nie zwiedziłem południowej Brazylii, prowincye Parana i Rio de Sul całkiem mi są nieznane; tam śród puszcz w towarzystwie Indyan zapomnę o mojem obejściu się z synowcem.

— Doskonale pan zrobi, mówił Kasper, tam nie dojdzie do pana wieść, jak rodzonego brata z całą rodziną wyrzucili na bruk!....

— Więc mam iść do nich, żeby mię za drzwi wypchnęli?... Żeby mi powiedzieli, że jestem okrutnik, potworca, niegodziwy stryj.... tygrys! jaguar! nosorożec!

— Tak jest, i powiedzieć panu Gabryelowi: bracie daruj mi obejście się z twym synem, uczyniłem to w gniewie, ale teraz serdecznie żałuję. Dowiedziałem się, że jesteś w bardzo

złem położeniu.... Dzięki Bogu, jestem bogaty, zapłacę wszystkie twoje długi... mów, wiele ci potrzeba?...

— Nie, nie.... przerwał pan Floryan.... nie chcę miłości za pieniądze.... gdybym zapłacił za nich długi.... udawaliby, że mnie kochają.... cóż mi potem!

Stary Kasper, znając dobrze usposobienie swojego pana, wiedział o tem dobrze, iż namawiając go dłużej, popsułby wszystko. Trzeba było przekonać starego odludka, że rodzina kocha go, ale nie dla pieniędzy. Gdyby się to udało, wtenczas z łatwością dałby się namówić do pogodzenia z bratem, — więc po chwili odrzekł:

— Ha, kiedy już inaczej być nie może, to niech pan poszle pieniędzy bratu, a sami po płyniemy do Ameryki.

— Wybornie radzisz stary.... tak zrobię.

— Bo znowu, mówił dalej, gyby się pan mógł jakim sposobem przekonać, że państwo Gabryelowie, pomimo tej nie mądrej historyi z ich synem, pana kochają, to już lepiej byłoby nie włóczyć się po świecie, bo prawdę powiedziawszy, to i ja stary i pan też nie młodzik, gdzie nam tam włóczyć się po lasach, sypiać na

drzewach i brodzić po bagnach i strumieniach, bić się z Indyanami.

— Ha, trudno, kiedy inaczej być nie może, mruknął profesor.

— Miałbym ja na to sposób, cedził powoli Kasper, ale.... I machnął ręką.

— Jaki sposób? zapytał profesor, mów, mów prędzej!

— Pojedziemy do Krakowa — pan napisze do brata, że cały majątek stracił na giełdzie.... że pan biedny....

— No, to się mój brat zmartwi, a i tak ma już dosyć kłopotów....

— Jeżeli się zmartwi, to już dobrze, bo znać, że pana kocha....

— I to prawda, ale zanim się przekonam o tem, to tymczasem biedaka zlicytują i na bruk wyrzucą.

I na to poradzimy.... Przed tym terminem, na który pan Gabryel ma płacić, pan pojedzie do nich.. niby wracając z kąpiel.... będzie pan mógł niepoznany przypatrzyć się swojej rodzinie.

— Synowiec mię pozna.

— Ej, zkąd? wtenczas widział pana tylko przez chwilkę, bez daszku na oczach, w szlafroku i był przelękniony....

— Wyborny koncept.... zrobię tak, jak radzisz.... pojadę i pomogę im, jako znajomy z kąpiel...., potem znowu jako brat, napiszę z Krakowa, że straciłem majątek i będę go prosił o pomoc, a jeżeli przyjedzie, to już do Ameryki nie popłynę — przeniosę się do nich, kupię domek, przeniesiemy tam moje zbiory i będziemy żyć wesoło....

Nazajutrz pan Floryan zaspał i zamiast o szóstej, jak zamierzał, przebudził się dopiero o ósmej. Rozdrażniony tem, zaczął dzwonić gwałtownie na Kaspra.

— Święty Panie! a tam co znowu? rzekł stary sługa, wbiegając.

— Niedołęgo, dlaczegoś mię nie obudził wcześniej?

— Nie obudziłem pana dlatego, bo pan Gabryel o świcie z córką wyjechał.

— Wyjechał!? otóż masz, wszystko mi się nie wiedzie!

— To jeszcze lepiej, proszę pana, bo my też wyjedziemy, a przejeżdżając przez miasteczko, gdzie pański brat ma sklep, wstąpimy niby to odwiedzić znajomego z kąpieli.

— A więc idź na pocztę i zapłać dwa miejsca na jutro, rzekł pan Floryan.

Kasper ucieszony tym rozkazem, pobiegł na pocztę. Na drugi dzień jednak nie wyjechali, bo biedny profesor zachorował.

Właściciel Miodziusia, dowiedziawszy się o chorobie pana Floryana, przeniósł go do gospody Warszawskiej, aby mógł sam czuwać nad chorym. Sprowadził lekarzy, którzy orzekli, że nie ma niebezpieczeństwa, lecz że chory przez parę tygodni będzie musiał pozostać w łóżku. Kasper zmartwił się podwójnie, raz chorobą pana, do którego był wielce przywiązany, a powtóre tem, że plan jego tak dobrze ułożony, jeżeli nie zupełnie przepadł, to przynajmniej odwlókł się na dłuższy czas, a tymczasem biednego pana Gabryela mogą spotkać wielkie nieprzyjemności.

Zdawało się, że wszystkie nieszęścia spiknęły się na starego kupca; termin zapłacenia wekslu zbliżał się, a brat, jedyny człowiek, który go mógł wybawić z nieszczęścia, gorączką nawiedzony, leżał bez przytomności i nie mógł mu pośpieszyć z pomocą.

IX.

Bóg nie opuści, kto się nań spuści.

W czasie, gdy biedny pan Floryan walczył z gorączką, a stary Kasper z ojcowską tro-

skliwością go pielęgnował, gromadziły się groźne chmury nad głową pana Gabryela, mogące zgruchotać jego szczęście.

Trzech dni już tylko brakowało do dnia zapłaty wekslu, a jeżeliby w dniu oznaczonym nie został zapłacony, miano zupełnie zlicytować zacnego kupca. Najmniejszej nie miał nadziei uzyskania zkądkolwiek pomocy; na brata nie mógł wcale liczyć, przyjaciół nie miał wcale takich, którzyby go poratować mogli; nie pozostawało, jak tylko sprzedać samemu przez licytacyę zapas towarów i wszelkie ruchomości. Tym sposobem jedynie mógłby dług zaspokoić i uchronić się od hańby bankructwa.

Ale co potem robić? z czego żyć? Bogu tylko wiadomo.

Nieszczęsnej rodzinie pozostałyby tylko cztery gołe ściany i skromny dochód z ogrodu. Niewiadomo nawet, czy brat skąpy i nieużyty pozostawiłby ich w mieszkaniu, jeżeli nie będą mogli płacić komornego. Gabryel nie był w stanie nawet przewidzieć, jak sobie Floryan w razie tym postąpi, bo liczył na jego przywiązanie braterskie, a tak ciężko zawiódł się na niem.

Ostatecznie więc postanowiono wszystko sprzedać. Gabryelek pospisywał towary i ruchomości, wydrukowano ogłoszenia, rozlepiono

po rogach miasteczka, a niedobrzy mieszczanie cieszyli się skrycie, bo byli pewni, że im się uda nakupić towarów za bezcen.

Za to w domu Kawińskich panował wielki smutek. Ojciec, matka i dzieci chodzili ze spuszczonemi głowami, nie odważając się zagadać do siebie, ażeby jeszcze bardziej nie powiększać zmartwienia rozmową o takiem nieszczęściu.

Jedna Marynia nie traciła serca, nie wiedząc sama dlaczego, miała jakąś nadzieję, że ich Pan Bóg wydźwignie z tego nieszczęścia, a gdy ojciec wzdychał, matka płakała, a Gabryelek załamywał ręce, kochane dziewczę pocieszało ich, mówiąc:

— Najdroższy tato! kochana mamo! Gabryelku! nie martwcie się, alboż to Pan Bóg nad nami nie czuwa? Wszak Jego Opatrzność czuwa nad najmniejszym robaczkiem, a pozwoliłby zginąć poczciwym ludziom? Wszak stare przysłowie mówi: „Bóg nie opuści, kto się nań spuści", nie traćmy odwagi. A choćby też i nadzieje moje nie spełniły się, to ja będę pracowała, a Gabryelek także coś dla was potrafi zarobić drodzy rodzice!....

Gdy tak mówili, nagle ktoś zastukał do drzwi.

— Cicho, mężusiu — zawołała Kawińska, Gryps idzie do nas. Ciekawa jestem,czego chce?

Drzwi od sklepu otworzyły się i Gryps stanął na progu, nie śmiejąc wejść.

— Proszę! bardzo proszę bliżej! zawołał ze wzruszeniem Kawiński, przypatrz się pan bliżej rodzinie, którą doprowadziłeś do nędzy.

Mimo zatwardziałego sumienia Gryps drgnął cały, gdy usłyszał prawdę powiedzianą mu w oczy bez najmniejszej ogródki. Odzyskał jednak wnet przytomność i odpowiedział:

— Nie bądźcie tak drażliwemi, Kawiński, przychodzę pogodzić się z wami, a może teraz, kiedy weksel na karku, porozumiemy się tem łatwiej.

— Zapłacę wam należytość co do grosza, panie Gryps, jutro po licytacyi.

— Po licytacyi.... po licytacyi — mówił Gryps, wchodząc do sklepu, przecież może się i bez licytacyi obejść... Jeszcze macie czas. Odprzedajcie mi ogród, to część należytości wekslowej odpłaci się, a resztę zaczekam, aż się znowu dorobicie grosza.

— Przecież wiesz o tem, panieGryps, rzekł Kawiński, że ogród nie należy do mnie, ale do mojego brata.

— Ech, głupstwo! zawołał Gryps; w księdze hipotecznej zapisany jest dom na imię Ga-

bryela Kawińskiego, a żeście imiona przemienili, to sąd w to się wdawać nie będzie — macie prawo sprzedać ogród każdej chwili. No, no, zgódźcie się, a handel Kawińskiego będzie istniał drugie sto lat.

Pokusa była wielka. Kawiński odstępując połowy ogrodu, mógł uratować swą rodzinę, swój sklep, który tak cenił.

Można było później brata przebłagać, a on, chociaż taki niedobry, z pewnością wybaczyłby tę sprzedaż, bo kawałek ogrodu nie wiele znaczył dla takiego bogatego człowieka. Pan Gabryel zakłopotany, nie wiedząc, jak ma sobie postąpić, poglądał to na żonę, to na dzieci, jakby wzrokiem chciał ich rady zasięgnąć — ale wszystko troje pospuszczały oczy ku ziemi. Czuł dobrze, że ratunek ten łatwy, był przecież oszustwem, a sumienie szeptało mu, raczej strać wszystko, a dobre zachowaj imię! Więc odpowiedział kusicielowi:

— Na taki układ nigdy nie przystanę. Ogród jest własnością mego brata, a w największej nawet potrzebie nie chcę dla uratowania się zostać oszustem.

Cała rodzina odetchnęła swobodniej, usłyszawszy mowę ojca. Gryps zmarszczył brwi i odszedł.

Na smutnych rozmowach zeszedł ten wieczór Kawińskim. Pomimo starań, aby jedno drugie mogło pocieszyć, wszyscy udali się z ciężkiem strapieniem na spoczynek, oczekując z trwogą przebudzenia się w dniu następnym.

Groźny dzień ten nadszedł. Już od rana gromadzili się mieszczanie przed sklepem Kawińskich, oczekując mającej rozpocząć się licytacyi.

W pośrodku sklepu ustawiono stół zielonem suknem nakryty, zasiadł za nim w fotelu miejscowy notaryusz, a tuż przy nim rozpierał się opasły Gryps, spoglądając to z szyderstwem na rodzinę Kawińskich, stojącą za kasą i pogrążoną w smutku, to znowu na towary, które spodziewał się za bezcen nabyć. Już miano licytacyę rozpocząć, gdy do sklepu nowe weszły osoby.

Najprzód wszedł nizki jegomość w wielkim zielonym daszku, głęboko na oczy nasuniętym, a tuż za nim stary służący.

Marynia poznała sąsiada ze Szczawnicy i dziwna otucha w jej serce wstąpiła.

Pocóżby tu przyjechał i wchodził do sklepu, jeżeli nie z pomocą, wszakże znał ich położenie, bo mu je ostatniego dnia przed wyjazdem opisała. Dziwiło ją jednak, że pan ów

ani razu w tę stronę nie spojrzał, gdzie stali, że się z nią nie przywitał, ani do ojca nie zbliżył, przez chwilę nawet zdawało się jej, że się pomyliła, bo pod daszkiem trudno było rozpoznać twarzy; lecz obecność Kaspra wnet tę sprawę rozwiała.

Marynia nie śmiała przybliżyć się i przemówić do niego i pragnęła oczyma zapytać Kaspra, czy w istocie może mieć jaką nadzieję? Ale stary sługa ani razu nie spojrzał na nią.

Zaraz po wejściu stanął za swoim panem, który usiadł także przy stole, szepnął mu coś do ucha, a potem wlepił wzrok bystry w Grypsa, co tego ostaniego mocno zaniepokoiło.

Tymczasem rozpoczęto licytacyę. Nikt nie odzywał się, bo nie sprzedawano, jak to mieszczanie spodziewali się, funtami, ale całemi partyami. Gryps, będąc pewnym kupna, nie śpieszył się, mając nadzieję, że jeżeli nikt nie utarguje, to notaryusz towary nizko oszacowane jeszcze bardziej obniży, ale właśnie w chwili, gdy znaczną ilość cukru wywołano na sprzedaż, nieznajomy w zielonym daszku odrazu postąpił o sto reńskich nad cenę. Gryps ofiarował o kilka guldenów więcej, ale nieznajomy znowu o 50 złr. dał wyżej. Było to prawie tyle, ile był wart cukier, więc prześladow-

ca Kawińskich nie mógł nad tę cenę postąpić i cukier nieznajomemu przysądzono.

Tak towar za towarem zakupywał obcy, aż Gryps nie mogąc powstrzymać się dłużej, zawołał niecierpliwie do nieznajomego:

— Ależ, mój panie, czyż pan myślisz wszystko zakupić? przecież i ja także chciałbym coś nabyć.

— Myślę wszystko zakupić, bo mi się tak podoba; potem sprowadzę jeszcze więcej towarów i poprobuję szczęścia podobnie, jak pan z panem Jajtelesem.

Gryps zbladł. Dotąd na spółce z Jajtelesem nie tylko nic nie zyskał, ale nawet dość stracił, bo dla odciągnięcia kupujących od Kawińskich, sprzedawali wszystko po cenie kosztu, a niekiedy i niżej. Spodziewał się, że odbije te straty, jak skoro sklep Kawińskich zostanie zamknięty i dopiero wtedy zacznie drzeć mieszczan.

Tymczasem jakiś zupełnie obcy człowiek, a do tego bardzo bogaty, nagle stawał mu na drodze. Gryps znaczny kapitał włożył w handel, teraz zaś mógł wszystko stracić przy takim konkurencie. Obtarłszy pot z czoła, przechylił się ku obcemu i zapytał:

— Za pozwoleniem, a czy pan masz pozwolenie na założenie handlu w naszem mieście?

bo trzeba panu wiedzieć, że trzeba mieć konsens od magistratu, pan możesz, zakupiwszy towary, osiąść na koszu i znaczne ponieść straty. — Ostrzegam!

— Niechaj się pan nie troszczy, odpowiedział chłodno obcy. Pozwolenia nie potrzebuję, bo handel mój będzie istniał pod firmą „Gabryel Kawiński", jest to znana w świecie z uczciwości firma, a więc z jakiej przyczyny mam się starać o inną?

Gryps zaciął usta aż do krwi, usłyszawszy tę groźbę, gdy tymczasem Maryni łzy radosne na twarzyczkę spłynęły, a Gabryel Kawiński rozczerwienił się, jak pąs, nie dowierzając własnym uszom. Jeżeli on sam nie utrzyma się przy sklepie, to przynajmniej pradziadowska firma nie zaginie. Z wdzięcznością spojrzał na nieznajomego, ale ten zdawał się nie dostrzegać tego spojrzenia.

Licytacya odbywała się dalej, a obcy zakupywał wszystko.

Gryps dusił się ze złości, ale nie mógł w niczem przeszkodzić, bo służący wszystko, co pan zatargował, płacił nowiuteńkiemi banknotami. Choć zapłacił dużo, jednak w pugilaresie pękatym nie znać było ubytku.

— A to ogromny bogacz, myślał garbarz no, jeżeli on będzie sklep prowadzić, przepadłem z kretesem, bądź zdrów, Gryps! bądź zdrów, Jajtelesie! — nie poradzimy mu obadwa, zniszczy nas obydwóch.

I Gryps, gdyby mógł, rozdarłby obcego, a za to rodzina Kawińskich miała chęć uściskać go serdecznie.

On uratował ich ojca od okropnej nazwy bankruta, a zakupywał towary za taką cenę, za jaką oni z zyskiem kupieckim sprzedawali je w handlu.

Z kolei miano się brać do sprzedaży innych ruchomości. Notaryusz, spostrzegłszy żółwia stojącego na szafie, kazał go postawić na stole i rzekł:

— Żółw w srebro okuty — pięć reńskich!

Wszyscy milczeli, nieznajomy tylko i służący rzucili na siebie spojrzenie przelotne, pełne znaczenia.

— Proszę mi pokazać tego żółwia, rzekł obcy.

Wziął go w rękę, pocisnął ukrytą sprężynę, tak sztucznie ukrytą, że jej niepodobna było dostrzedz, spojrzał ukradkiem wewnątrz, a potem uśmiechnąwszy się, przechylił się do służącego i szepnął do niego cichutko:

— Teraz nie dziwię się, że mię mają za nieużytego skąpca, bo dotąd nie zajrzeli wcale do żołądka mojemu szyldkretowi; mam nadzieję, że się wkrótce przekonają, że nie jestem tak złym, jak się wydaję.

— Pięćreńskich i dziesięć grajcarów, zawołał Gryps.

— Pięć reńskich i dziesięć grajcarów, powtórzył woźny — kto da więcej?.... pięć reńskich i dziesięć grajcarów po raz!.... po drugi.... i po....

— Za pozwoleniem, odezwał się pan Floryan, którego zapewne już oddawna nasi czytelnicy poznali. — Ja daję za tego żółwia pięćset reńskich!

Szmer powstał pomiędzy licznie nagromadzoną publicznością; wszyscy obecni mniemali, że obcy nie jest przy zdrowych zmysłach, ofiarując taką wielką sumę za lichy sprzęt. Nawet rodzina Kawińskich niezmiernie zadziwiona poglądała z niedowierzaniem na pana Floryana, a notaryusz osłupiał.

Jeden tylko Gryps wpadł na myśl, że żółw kryje w sobie jakiś skarb — kazał sobie podać żółwia i probując nadaremnie otworzyć, ważył w ręku.

Dostrzegł on, że człowiek w zielonym daszku zaglądał do środka. Wielki ciężar na-

prowadził go na myśl, że żółw był napełniony złotem, postanowił więc kupić go na złość nieznajomemu, a przynajmniej popędzić cenę tak wysoko, aby jeżeli przeciwnik żółwia zakupi, poniósł na nim stratę, więc zawołał donośnym głosem:

— Pięćset reńskich i grajcar!

Obcy spojrzał z zadziwieniem na Grypsa, pomiędzy obecnymi wszczął się głośny szmer, aż notaryusz prosił o spokojność.

— Szanowny panie, odezwał się profesor do Grypsa, na się panu może przydać ta żółwia skorupa? dla pana nie ma ona żadnej wartości, chociaż dla mnie ma bardzo wielką.

I słusznie mówił, dla niego żółw miał tę nieoszacowaną wartość, że za pomocą jego mógł przekonać brata i rodzinę, że nie był tak nieużytym skąpcem, jak sądzili. Ale Grypsa potwierdziła w domysłach uwaga p. Floryana; teraz już był pewnym, że wnętrze żółwia zamykało większy skarb, aniżeli zrazu mniemał, więc odparł szorstko:

— Niechaj pan troszczy się sam o siebie, tu jest publiczna licytacya, każdemu wolno ofiarować, ile mu się podoba, a więc choćbym dał i pięć tysiący reńskich za żółwia, to nikogo nie powinno obchodzić... prosimy licytować dalej.

— Pięćset reńskich i grajcar! — zawołał woźny.

— Tysiąc reńskich, rzekł profesor.

— I grajcar — dodał Gryps.

— I jeszcze tysiąc reńskich — odezwał się pan Floryan.

Zgromadzeni nie wiedzieli czy to jawa, czy sen? Czegoś podobnego nikt z nich w życiu swojem nie był świadkiem, ażeby tysiącami rzucano. Sam Gryps zmięszał się i poszepnął do ucha profesorowi:

— Panie, nie przyszliśmy tutaj żartować, jeżeli pan w samej rzeczy chcesz kupować na prawdę, to chciej nas o tem przekonać, że masz tyle gotowizny.

Obcy uśmiechnął się i skinąwszy na służącego, powiedział mu coś do ucha. Kasper najprzód rozłożył przed panem swoim banknoty, wyjęte z pugilaresu, których było za kilka tysięcy, a potem wyciągnął szkatułkę okutą żelazem, którą postawił przy wejściu pod stołem i otworzył. Szmer podziwienia rozległ się w koło, bo napełnioną była po brzegi nowiuteńkiemi 20sto frankówkami, a na samym wierzchu leżało kilka klejnotów bardzo wielkiej wartości. Gdy służący zamknął szkatułę i banknoty napowrót w pugilaresie umieścił, pan Floryan, zwracając się do Grypsa, rzekł:

— Zapewne pan jesteś uspokojony, a odwracając się do notaryusza, dodał:

— Dwa tysiące reńskich.

— Dwa tysiące reńskich, powtórzył woźny, po raz.... po drugi....

— Stój! jeszcze grajcar! zawołał Gryps, ocierając pot, który w dużych kroplach wystąpił mu na czoło, walczył on długo z sobą, zanim odważył się licytować dalej, bo nie był pewien, czy skarb ukryty wewnątrz był wart dwa tysiące reńskich, ale zawziętość przemogła i pomyślał w końcu: Jeżeli dodam grajcar, to nie przepłacę żółwia, skoro ten zupełnie obcy bogacz tyle daje.

I ofiarując grajcar więcej szyderczem spojrzeniem zmierzył profesora, który się odezwał:

— Panie, rozważ, co robisz, ja tylko jeden wiem, jaką żółw ma wartość i ma ją tylko dla mnie. Ostrzegam pana, abyś nie pożałował kupna, gdy będzie za późno.

— Nie troszcz się pan, odparł Gryps, umocniony w domysłach co do wartości żółwia i przekonany, że obcy chce go tylko odstraszyć od kupna. Mam takie same prawo do kupna, co i pan, moje pieniądze takie dobre, jak pańskie, a mnie także nie chodzi o kilkaset reńskich, bo chociaż nie przechwalam się publi-

cznie z pieniędzmi, mam ich dosyć, — proszę licytować dalej.

— Dwa tysiące reńskich i grajcar, wołał woźny.

— Trzy tysiące reńskich, odezwał się spokojnie pan Floryan.

— I grajcar — dodał Gryps.

— I dwa grajcary — rzekł obcy.

— Cztery tysiące reńskich! — krzyknął zaperzony Gryps, zobaczymy dokąd to nas za prowadzi.

Profesor wzruszył ramionami, wszyscy oddech wstrzymując oczekiwali, jaką też ofiaruje sumę.

Gabryel Kawiński płakał z radości, a żona i dzieci ściskali ojca, który szeptał:

— Uratowany jestem, uratowana cześć starej firmy — „Bóg nie opuści, kto się nań spuści".

Zgromadzeni zajęci licytacyą nie zważali na tę radość ocalonej rodziny, ale pan Floryan z pod zielonego daszka pilnie wpatrywał się w nią, nie mógł oderwać oka, szczególnie też od Maryni; serce jego przepełniała słodka radość, patrząc na swoich ukochanych, których szczęścia był sprawcą, zapomniał o wszystkiem, co się około niego działo.... zapomniał, że się

odbywa licytacya.... [myśli jego zajęte były tylko rodziną.

A tymczasem notaryusz prowadził dalej licytacyę i woźny donośnym głosem wołał:

— Cztery tysiące reńskich po pierwszy raz!.... panowie cztery tysiące reńskich po pierwszy raz!.... kto da więcej? Cztery tysiące reńskich po drugi raz!.... czy nikt nie daje więcej? cztery tysiące reńskich po drugi raz!.... i.... po trzeci!

Notaryusz zadzwonił i żółw został przysądzony Grypsowi.

— Winszuję panu upragnionego kupna, rzekł notaryusz do Grypsa, ale ten nie słyszał powinszowania; porwał młotek leżący na kasie i nie męcząc się nad szukaniem sprężyny, kilkakrotnem uderzeniem zgruchotał skorupę. Ze środka posypały się listy, każdy pięcioma pieczęciami opatrzony, a na każdym był adres:

„Wielmożny Dr. Floryan Kawiński

w Krakowie.

Wewnątrz 20 dukatów."

Szybko policzył listy, było ich dwadzieścia cztery, a więc suma w nich zawarta wynosiła około półtrzecia tysiąca guldenów, a on zapłacił za żółwia aż cztery tysiące.

Gryps blady i pomięszany upadł na fotel jakby apopleksyą tknięty, poczem zerwał się i krzyknął:

— Kupno nieważne, jestem oszukany! proszę je odwołać panie notaryuszu.

— Kupno jest ważne, odpowiedział stanowczo notaryusz, wszystkim przepisom stało się zadosyć.

— Pod pewnym tylko względem jest nie tak, jak pan sądzisz, dodał, wpatrując się szyderczo w Grypsa, którego powszechnie w mieście nie lubiono. Żółw był wystawiony na sprzedaż, to prawda, ale w spisie nie były zamieszczone listy z pieniędzmi, które w nim się znalazły. Ponieważ zaś na tych listach wyraźny widzimy adres uczonego doktora Kawińskiego z Krakowa, przeto nie są pańską, ale jego własnością. Przepraszam więc, że je zabieram dla złożenia w depozycie sądowym, dopóki sąd właściwy nie rozstrzygnie tej całej sprawy.

Gryps o mało nie padł trupem, usłyszawszy to. Wprzódy pocieszał się chociaż tem, że w znacznej części swoją stratę odzyska, a teraz, jeżeli sąd listów mu nie przyzna, pozostanie mu za cztery tysiące reńskich pogruchotana skorupa żółwia. Kawiński, kupiec dotąd osłupiały

z podziwienia, pośpieszył teraz do notaryusza i prosił go:

— Panie, pozwól mi tylko przypatrzyć się chociaż jednemu adresowi.

— Notaryusz podał mu jeden z listów, a Gabryel, rzuciwszy nań okiem zawołał w głos:

— Petrysiu! Gabryelku! Maryniu! patrzcie, jak niesprawiedliwie posądziliśmy stryja! teraz dopiero wiemy, co żółw znaczył. Brat mój składał w nim czynsze z domu i ogrodu przez lat dwadzieścia cztery, a całą tę sumę wynoszącą 480 dukatów podarował nam. O mój Boże, mój Boże! czemuż go tu niema, ażebym mu podziękował — wszak ten wspaniały dar o kilkaset guldenów przenosił dług, który nam groził zniszczeniem.

— Kochany stryjaszek, mówiła Marynia z rozrzewnieniem, jakże mi przykro, żem tak niesłusznie wyrzekała na jego nieużytość i brak przywiązania.

— Wspaniały stryj, odezwał się z kole Gabryelek, chociaż miał najzupełniejszą słuszność wyrzucając mnie za drzwi, bo mu zabiłem ukochane stworzenie, a przecież i w tym gniewie i zmartwieniu tak wspaniale nas obdarzył; a ja nierozsądny, myślałem, że w żółwiu znajdują sią kamienie.

— Moje dzieci, dodała w końcu matka, a to oczywista łaska Opatrzności. Zaraz jutro Gabryelu, musisz pojechać z synem do Krakowa, podziękować kochanemu Floryanowi i przeprosić go za zabicie tej nieszczęsnej małpy.

— Nie potrzeba! krzyknął pan Floryan głosem wzruszonym i pochwyciwszy daszek zielony, cisnął go z takim zamachem, że padł na szafę i jedną butelkę rozbił — Gabryelu! siostro! dzieci! to ja ten skąpiec, wasz brat! stryj! Pójdźcie do mnie, najmilsi! jakżem szczęśliwy, że mnie kochacie! A ty Marynieczko, ucałuj stryjaszka! i przekonaj się, że stryj nie taki nudziarz ani złośnik, jak wam się musiało zdawać.

Trudno opisać zdziwienie, radość i zachwycenie rodziny Kawińskich. Wszyscy rzucili się do pana Floryana; Kawiński zawisnął mu na szyi, Gabryelek i Marynia otoczyli go rękami, a matka ze łzami powtarzała:

— Boże! chwała Ci na wysokościach!

Sąsiedzi, znajomi i wszyscy znajdujący się przy tej scenie, z wielkiem rozrzewnieniem przypatrywali się uszczęśliwionej rodzinie. Gryps wysunął się nieznacznie, a stary Kasper stojąc za swoim panem, powtarzał:

— A co? czy nie mówiłem panu, że się wszystko dobrze skończy! że brat i pani bra-

towa i ten panicz i ta kochana panienka pana kochają i to za darmo! Pan myślał, że pana wypchną za drzwi, jak my wypchnęli panicza! Otóż pan masz wypchnięcie! O.... jaki to pan szczęśliwy teraz.... nie trzeba to było tego dawniej zrobić? Ale kto z panem poradzi? Jak co mówiłem, pan zaraz: „Cicho, stary niedołęgo!”... Ciekawy jestem, kto większy niedołęga? co?!

No, cicho Kasper! przerwał profesor.... nie rezonuj!

Tymczasem notaryusz, zabrawszy woźnego opuścił sklep, a za nim wyszli ci wszyscy, co na licytacyę przybyli i rozbiegli się po całem miasteczku, rozpowiadając cuda o ogromnych bogactwach pana Floryana Kawińskiego i wydrwiwając Grypsa, który za potłuczoną skorupę tak drogo zapłacił. Rodzina kupiecka niedawno pogrążona w rozpaczy, nagle ujrzała się tak szczęśliwa, jak nigdy nie była. I wszyscy ściskając Marynię, powtarzali ze łzami: „Bóg nie opuści, kto się nań spuści”.

X.

Kto pod kim dołki kopie, często sam w nie wpada.

Wieczór dnia tak smutno rozpoczętego przeszedł bardzo wesoło. Opowiadano sobie

nawzajem, jak przepędzali lata przeżyte w rozłączeniu; pan Floryan swoje podróże, przygody, trudy, jakiemi doszedł do znaczenia i bogactwa. Pan Gabryel rozgadał się o swojem ożenieniu, o dzieciach, o powodzeniu w stanie kupieckim i podstępach niegodziwego Grypsa. Nareszcie profesor objaśnił im historyę owego żółwia, w następujący sposób:

— Kiedy doniosłeś mi o śmierci naszego ojca, miałem się już wtenczas bardzo dobrze, tak iż zapisanie domu i ogrodu wcale mię nie obchodziło; kiedyś więc przysłał pierwszy list z pieniędzmi, odczytałem go.... ale znając zwyczaj kupiecki pisania zawsze jednakowo w interesach pieniężnych, wszystkie następne listy nieodpieczętowane wrzucałem do żółwia, zamierzając kiedyś, gdy znajdę chwilę wolnego czasu, przyjechać tu, oddać ci te listy i podarować dom, lecz mi zawsze jakoś brakowało czasu i nie mogłem wybrać się. Zajęty to badaniami naukowemi, to podróżami, nie miałem chwili wolnej myśleć o takich bagatelach jak czynsze, pieniądze i tym podobne niedorzeczności. A przytem, mój bracie, byłem pewny, że ci się doskonale powodzi. Kiedy twój syn przyszedł i zabił moją ulubioną, i muszę ci powiedzieć, nadzwyczaj rzadką małpkę, wpa-

dłem w niezmierny gniew, a dosłyszawszy tylko tyle, że mówił coś o komornem.... kazałem Kasprowi, aby dla skończenia raz z temi nieznośnemi pieniędzmi i domem, oddał żółwia Gabryelkowi. W rozjątrzeniu zapomniałem kazać mu powiedzieć, jak się żółw otwiera, a ten stary niedołęga nie domyślił się tego, żeby dać objaśnienie.... Otóż tak się rzecz ma.... Ale ja daleko ciężej zawiniłem przeciwko wam, moi drodzy, dodał ze wstydem, przyznam się otwarcie, gdyby nie Szczawnica i zjechanie się nasze tam, byłbym nic nie wiedział o waszem smutnem położeniu, bylibyście doznali nędzy i udręczeń, mając tak bogatego stryja, który nie wiedział, co robić z dostatkami.... Ach, może nawet byłbym umarł nie poznawszy was.... Otóż za karę powinienem teraz sam pozbawić się tego szczęścia i oddalić się od was na zawsze.

— A niechże Bóg broni! zawołała Marynia, obejmując stryja za szyję, a kogóżbym ja pieściła?....

— Och ty! ty pieszczotko, rzekł stary uczony ze łzami, ty moja pocieszko, niech cię Bóg błogosławi. Twoja troskliwość i miłość do ojca pochwyciła mię mocno za serce i zbliżyła do was, moi kochani.... Moja Maryniu,

tak cię kocham, że ci daruję wszystkie moje małpy i papugi.

— Oto panienka będzie miała śliczny posag, zawołał Kasper, śmiejąc się na całe gardło, a cóż takiej pięknej panience po tych szkaradnych małpach?

— Dodam na przyczynek jeszcze i ciebie, stary orangutanie, rzekł profesor zawstydzony nieco osobliwszym podarunkiem, jaki chciał synowicy zrobić.... A ty mała jesteś powodem, że poznałem, co to znaczy szczęście rodzinne, o czem wśród ksiąg i zwierząt nie miałem dotąd wyobrażenia. Niechże ci to Bóg wynagrodzi, mój aniołeczku! tobie jesteśmy winni nasze szczęście.

— Bynajmniej, stryjaszku, to Gabryelkowi, gdyby był broniąc się, nie zabił małpeczki....

— Eh, co tam Marykita.... jeżeli dobrze rzecz rozważymy, to powodem dzisiejszego szczęścia jest brat Gabryel. Rzetelnie i punktualnie odsyłał mi pieniądze za komorne z domu, o które wcale nie dbałem, a kiedy raz nie mógł w terminie zapłacić, przysłał syna z prośbą o względność; gdyby nie to, nigdybyśmy się nie poznali.

Gabryel twierdził, że to wcale nie jego zasługa i z tego powodu wszczęła się dysputa

między braćmi, bo jeden drugiemu przypisywał szczęście dnia dzisiejszego, ale spór ten rozstrzygnęła matka, mówiąc:

— Nie spierajcie się kochani, szczęście, jakiego doznajemy, nie pochodzi od żadnego z was, ale od Wszechmocnego Pana na niebie, który opiekuje się biednymi i nie opuszcza ich w nieszczęściu. Jemu więc dziękujmy za dobrodziejstwo, którego doznaliśmy dzisiaj.

— No mój bracie, więc teraz ty będziesz prowadził sklep — wszak prawda? zapytał Gabryel pana Floryana. Uczony zoolog roześmiał się i odpowiedział:

— Ani o tem myślę, kochany Gabryelu, przecież na stare lata praktykować na kupca nie będę, sklep ze wszystkiem, co się w nim znajduje, należy do ciebie.

— Ależ ty zakupiłeś wszystko na licytacyi, mówił pan Gabryel.

— Kupiłem dla ciebie, dla was, moi drodzy; za to wszystko pozwolicie mi tylko przy sobie zamieszkać. Dobudujemy kilka pokoi na pomieszczenie moich zbiorów, do których tak nawykłem, że się na starość nie mogę z niemi rozłączać; osiądę przy was, ale o handlu nic nie chcę wiedzieć.

— To znowu ja twego daru przyjąć nie mogę, rzekł kupiec Kawiński; zapłaciłeś za sklep i towary, a ja nie mam do nich najmniejszego prawa.

— Słuchajno, Gabryelu, zawołał profesor z niecierpliwością, ja jestem, jak powiadają ludzie, uczony dziwak, odludek, nie umiejący żyć z ludźmi i nie znający obyczaju światowego, ale ty jesteś jeszcze większym dziwakiem. Wy, kupcy osobliwsze macie pojęcia: gotowi jesteście rachować się nie tylko z bratem rodzonym, ale z własnemi rodzicami i dziećmi. Cenię rzetelność, ale znowu nie rozumiem, jak można ją posuwać do takiego dziwactwa, ażeby marny grosz przenosić nad miłość rodzinną. Nie wspominajże mi więcej o tych rachunkach, bo zabiorę się ztąd, popłynę do Ameryki i nigdy mię już w życiu nie zobaczycie. Przelękniony tedy pogróżką Gabryel, przyjął dar ofiarowany mu przez brata, a potem rozpoczęła się znowu wesoła pogadanka i dobrze już po północy rodzina Kawińskich udała się na spoczynek.

Na drugi dzień rano Gabryel zapłacił Grypsowi weksel, którego termin właśnie na ten dzień przypadał. Gryps nadzwyczaj lubiący pieniądze, tym razem odebrał je z bardzo kwa-

śną miną, wziął banknoty, wsunął do kieszeni, a rzuciwszy pokwitowany weksel, wyszedł za drzwi przeklinając cały ten interes.

Dawniej wszyscy wygadywali na Kawińskiego; nazywali dumnym, tytułowali głupim, że nie chciał odprzedać Grypsowi część ogrodu, że dobrze mu tak, że nowy handel otworzono, bo też darł bez miłosierdzia za towary. Teraz gdy z nad brzegu przepaści nagle i niespodziewanie przyszedł do dostatków, obywatele miasteczka, istne chorągiewki na dachu zmienili swoje zdanie i rozpływali się w pochwałach o Kawińskich, a nie mieli silnych wyrazów oburzenia na potępienie Grypsa.

— A to cud! mój panie Makary, rzekł pan Telesfor, podając tabakę sąsiadowi. Jak ten poczciwy Kawiński wypłynął z biedy. Chwałaż Ci, Panie Boże, bo też to szkoda było takiej dawnej i zacnej rodziny. Ja ich serdecznie żałowałem, a moja żona, dowiedziawszy się o licytacyi, rozpłakała się jak dziecko.

— Moja toż samo, odpowiedział pan Makary, bo to panie kupiec uczciwy, rzetelny, a takich towarów, jak u niego, chyba w Krakowie dostanie, gdzie tam Jajteles, ani porównania niema.

— A pocóżeście u Jajtelesa wszystko kupowali? zagadnął Marek.

— Ej, to moja żona, ale nie ja — gniewałem się o to, ale poradzi to z babą.

— Ale też u Kawińskich teraz pieniędzy, jak lodu — mówiła pani Piotrowa pewnie ich stać na 20 tysięcy reńskich srebra.

— Na wiele?! zawołała Onufrowa na dwadzieścia?! a ja wam powiadam, że najmniej na sto tysięcy!

— Mnie mówił stary służący tego profesora, którego uczęstowałem, żeby się prawdy dowiedzieć, rzekł pan Kalasanty, że profesor ma w Krakowie piwnicę z żelaznemi drzwiami, a w tej piwnicy pięć beczek dukatów, co je z Kalifornii przywieźli.

— Pięć beczek! a ileż to może być w takiej beczce, zapytała pani Piotrowa.

— Któż tam wie, odpowiedział pan Kalasanty, może milion, może i więcej.

— Ciekawa też rzecz z kim ożenią Gabryelka i za kogo wydadzą Marynię?

Takie i tym podobne rozmowy prowadzili mieszczanie, a chcąc sobie zjednać nowych bogaczy, tłumnie cisnęli się po towary do pana Kawińskiego. Stary kupiec nie przypuszczał wcale, aby to powodzenie zjednała mu wieść o wielkich bogactwach brata, przypisywał on je swoim kupieckim zdolnościom i opinii dobrej, jaką słynęła firma Kawińskich.

— Panie bracie, mawiał do Floryana, widzisz, co to znaczy moje doświadczenie i stara firma. Mieszczanie chodzili zrazu do Jajtelesa, ale przekonali się, że nie masz lepszych towarów, jak u Gabryela Kawińskiego.

Na te słowa uśmiechał się profesor i nie chcąc bratu odbierać tej pociechy, nie sprzeciwiał się wcale. Wyjechał on do Krakowa z Kasprem urządzić swoje interesa; tymczasem budowa domku, który sobie budował w ogrodzie szybko postępowała.

Gdy tak pomyślnie szło Kawińskim, sklep Jajtelesa pustką świecił od rana do wieczora.... wszyscy goście opuścili go i on teraz doznawał z Grypsem takiego smutnego losu, jaki oba zgotowali przed półrokiem Kawińskiemu.

W trzy miesiące po licytacyi w początkach listopada, bardzo wczas rano, kiedy jeszcze pan Gabryel Kawiński nie wyszedł do sklepu, wpadła służąca do pokoju, wołając:

— Aj, proszę państwa, nowina! wielka nowina!! Sklep Jajtelesa zamknięty, a nawet zdjęli znak.... już po handlu.

— To być nie może! zawołał pan Gabryel i ubrawszy się szybko, wybiegł na ulicę, w kwadrans powrócił i opowiedział rodzinie, co się stało.

Jajteles widząc, co się dzieje, zabrawszy gotowiznę i wszystko, co mógł zabrać, zniknął, jak kamfora. Gryps musiał sklep zamknąć, bo najprzód sam nie znał się na handlu, a po wtóre nie było dla kogo trzymać sklepu, gdyż goście opuścili go zupełnie. Kawiński, chociaż mu taką wyrządził szkodę i tyle narobił zmartwień, żałował Grypsa, ale pani Kawińska odezwała się na to:

— Nikomu źle nie życzę, ale Gryps zasłużył na to, co go spotkało, „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada — jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz — jaką miarą mierzysz, taką ci odmierzą — nosił wilk owce, ponieśli i wilka. Niechże to będzie dla drugich przestrogą, ażeby się cudzą krzywdą nie zbogacali".

W kilka dni potem inna wieść gruchnęła po miasteczku. Sam Gryps także uciekł, zostawiwszy dom, sklep i garbarnię na łup wierzycielom. Pokazało się, że jego wspólnik powystawiał taką masę weksli na Grypsa, że cały majątek na zapłacenie ich nie wystarczył. Tak więc niepoczciwy człowiek, który sprowadził Jajtelesa, aby wspólnie z nim zgubić Kawińskich, sam został przez niego zrujnowany.

Teraz pan Gabryel został znowu najpierwszym kupcem w miasteczku i cieszył się, że sta-

ra jego firma jeszcze większym niż dawniej zajaśniała blaskiem. Błoga nadzieja napełniała jego serce, gdy widział, jak pilnie i starannie Gabryelek zajmował się handlem i pewnym był, że znak

HANDEL KORZENNY I WINNY

Gabryela Kawińskiego

jaśnieć będzie ponad drzwiami sklepu aż do skończenia świata.

Przed zimą nowy dom był gotowy, ale dopiero na drugą wiosnę wykończono wnętrze. P. Floryan, rozdarowawszy znaczną część swoich zbiorów zakładom naukowym, zabrał resztę ze sobą, przeniósł się do braterstwa i urządził w nowem mieszkaniu.

Dziś obadwaj bracia zamieszkują obok siebie, kochając się serdecznie; jedzą wspólnie, bawią się wspólnie i używają tego cichego szczęścia, jakiego człowiek dostępuje w podeszłych latach, jeżeli życie przepędził w poczciwej pracy, postępował rzetelnie, żył dla swej rodziny i wychowywał dzieci w bojaźni Bożej i miłości bliźniego.

KONIEC.